

Zbigniew Noska

ZAKŁĘTA W KAMIEŃ

podania, legendy i baśnie
z powiatu pilskiego



*Książkę tę poświęcam mojemu synowi Radkowi
w nadziei, że kiedyś będzie mógł ją przeczytać.*

Autor

ZAKŁĘTA W KAMIEŃ

podania, legendy i baśnie
z powiatu pilskiego

zebrał i opracował:
Zbigniew Noska

rysunkami ozdobiła:
Krystyna Noska



Piła 2021



powiat pilski

Patronat Honorowy
Starosta Pilski Eligiusz Komarowski

Sfinansowano ze środków Powiatu Pilskiego

Zebranie i literackie opracowanie tekstów:
Zbigniew Noska

Rysunki:
Krystyna Noska

Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Alicja Noska-Figiel, Krystyna Noska, Aldona Winiarczyk-Bryszak

Skład komputerowy:
Aldona Winiarczyk-Bryszak

Korekta:
Halina Frank

Wydawca:
Studio Projektu Graficznego ART-WENA
Alicja Noska-Figiel
www.art-wena.pl
mail: grafika@art-wena.pl
tel. 501 186 165

Wydanie I

ISBN 978-83-945773-8-4

Od autora

- *Czy znaleźliśmy się w świecie legend,*
- czy też chodzimy po zielonej ziemi w blasku dnia?*
- *Można żyć w obu tych światach naraz - rzekł Aragorn.*

(J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni*)

Potrzeba poznania tradycji stron rodzinnych, regionu, najbliższej ojczyzny istniała zawsze wśród Polaków, a głównie wtedy, kiedy byt narodowy był zagrożony. Wielu twórców małej ojczyzny inspirowały i stawały się mitotwórczym tygłem, gdy rozpamiętywali je z oddalenia, nostalgicznie - po utracie. Taką rolę pełniła Litwa w „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza, Żmudź w twórczości Czesława Miłosza, Huculszczyzna w prozie Stanisława Vincenza czy też Wielopole w dziele Tadeusza Kantora.

Dla mojej generacji mała ojczyzna była i jest obszarem swojskości, najbardziej prywatnym; krainą, którą dziecko poznaje w sposób naturalny: od domu rodzinnego, przez najbliższą okolicę, do tego, co w zasięgu horyzontu i dalej. Jak tłumaczył Czesław Miłosz, „owo zakorzenienie, ów związek z małą ojczyzną jest stałą potrzebą natury ludzkiej”.

A czym są one dziś, u początków trzeciej dekady XXI wieku? Jakie wartości wnoszą w życie Polaków?

W obliczu ekspansji cywilizacji technicznej, gdy uwagę młodszych pokoleń pochłaniają tablety, smartfony, laptopy i inne gadżety, zniknęły - zakłute w kamień niepamięci - dawne tradycje, obyczaje, a zwłaszcza to, co jest źródłem także współczesnej kultury: przekazy i opowieści ludowe - cała ta narodowa mitologia, która kształtuje polską tożsamość.

Nic więc dziwnego, że nikt dotąd nie zagłębił się w świat legend, podań, baśni i opowieści, które spajałyby powiat pільski - ziemię o tak różnej tradycji, obyczaju i historii. Podejmując tę próbę, kierowałem się przede wszystkim swoimi zainteresowaniami historią, która od najmłodszych lat stanowiła moją pasję, a także materiałami, jakie udało mi się zebrać i opublikować na łamach „Tygodnika Nowego” w dwóch cyklach. Pojawiły

się one w znacznym odstępie czasowym. Pierwszy pt. „Legendy Krajny” ukazał się w latach 2009-2010, drugi pt. „Przy kominku” znalazł się po raz pierwszy na łamach „TN” w czerwcu 2019 roku i kontynuowany będzie (mam nadzieję) tak długo, póki nie wyczerpie się źródło, wydające się być bez dna, a którym są prace etnografów i regionalistów, zasłyszane oraz zapisane w Internecie opowieści ludzi, także wyobrażenia autora.

Tej ostatniej używam nader ostrożnie, wypełniając nią luki w często lakonicznych, kilkudzaniowych lub niedokończonych ludowych przekazach. Czasem także, aby je ubarwić, uatrakcyjnić i sprawić, by stały się bardziej interesujące dla współczesnego, zwłaszcza młodego odbiorcy.

Czytelnik „Zakłętej w kamień” zapewne zauważy, że zawiera ona podania, legendy i baśnie wprowadzie z całego powiatu piłskiego, ale niezbyt sprawiedliwie obdarowując nimi poszczególne jego części. Wynika to zapewne z procesu germanizacji, któremu przez blisko dwieście lat poddana została - i to skutecznie - głównie zachodnia część dzisiejszego powiatu wraz z jego stolicą, Piłą. Ciągłe pożary miasta strawiły doszczętnie dokumenty, obrazujące przeszłość, a exodus tubylczej ludności po II wojnie światowej oraz zasiedlanie przez mieszkańców polskich Kresów Wschodnich spowodowały przerwanie ciągłości kulturowej i cywilizacyjnej, tak ważnej dla zachowania ludowej tradycji.

Ponieważ niniejszą książeczką mam nadzieję zainaugurować cykl wydawnictw, poświęconych szeroko rozumianemu regionowi Nadnotecia, liczę na to, że życzliwi czytelnicy oraz krytycznym okiem oceniający moją publikację regionaliści uzupełnią jej braki wiedzą, do której dotąd nie udało mi się dotrzeć.

Kończąc, chciałbym podziękować Panu Staroście Eligiuszowi Komarowskiemu za finansowe wsparcie wydania „Zakłętej w kamień”. Bez tej pomocy moja książka nigdy by się nie ukazała.

Zbigniew Noska

Zaklęta w kamień



Przed wieloma wiekami, tak dawno, że trudno zliczyć, stał na wzgórzu nad Notecią dwór modrzewiowy, duży i chędogi. Mieszkała w nim rodzina liczna i bogata. Należały bowiem do niej okoliczne pola, łąki nadnoteckie i sady, w których królowały białe śliwy. Dlatego dwór ów oraz otaczające go chłopskie chaty zaczęto nazywać Białośliwiem.

Życie w modrzewiowym dworze płynęło spokojnie i szczęśliwie. Do czasu. Pewnej zimy zmarła nagle matka, a wkrótce potem dołączył do niej w królestwie niebieskim jej mąż. Młodzi pozostali sami. Było ich sześcioro. Czterej bracia i dwie siostry. Wszyscy, z wyjątkiem najmłodszej, złotowłosej dziewczynki, byli już dorośli i do dojrzałego życia przysposobieni. Tak się przynajmniej wydawało opuszczającym ich na zawsze rodzicom.

Czterej bracia podobni byli do ojca, smagli i silni, ale żaden z nich nie odziedziczył gospodarskiej zapobiegliwości. Nad pilnowanie ojcowizny przedkładali łowy na grubego zwierza, którego wonczas w lasach nie brakowało. Mimo to chłopi okoliczni kochali młodzieńców, bo serca mieli dobre i byli szczodrzy dla swych poddanych. Nikt nie miał więc powodów, by skarżyć się na nich.

Siostry natomiast różniły się bardzo zarówno wiekiem, urodą, jak i charakterem. Starsza z nich postać miała królewską, włosy czarne jak krucze skrzydła, oczy niczym węgiel, a twarz białą, jakby nigdy słońca nie widziała. Młodsza, złotowłosa, oczy miała niebieskie jak niebo w słoneczny letni dzień. Pełna temperamentu i energii charakterystycznej dla podlotków, zawsze pogodna i życzliwa dla ludzi, była ulubienicą nie tylko braci, ale wszystkich mieszkańców osady.

Inaczej było ze starszą siostrą. Władcza i bezwzględna - zajęła się ojcowizną, dążąc do jej powiększenia, nie bacząc na cenę. Wymagała więc od swych poddanych pracy ponad siły. Z czasem, gdy rosła ilość złota, skrzętnie przez nią gromadzonego, coraz częściej i coraz natarczywiej w jej głowie zaczęła pojawiać się myśl o tym, jak by tu pozbyć się rodzeństwa, z którym owych bogactw dzielić nie chciała.





Po drugiej stronie rzeki, na skraju lasu mieszkała staruszka, babką zwana, która potrafiła nie tylko leczyć ludzi, ale także znała zaklęcia, przy pomocy których czary czyniła. Pewnego dnia chyłkiem, aby nikt nie widział, udała się do niej starsza siostra i wyjawiała swoje zamiary. Babka, niechętna braciom, którzy polowali w jej lesie, płosząc zwierzęta, skuszona ponadto złotym pierścieniem, zdradziła jej zaklęcie, które pomogło pozbyć się rodzeństwa.

Gdy czarnowłosa wróciła do domu, znalazła braci przy posiłku w głównej komnacie dworu. Wtedy wypowiedziała owo zaklęcie. Nagle zapanowała ciemność, nadeszła czarna chmura i przeleciał zimny wiatr, a w komnacie chłopcy zamienili się w czarne kruki, które poderwały się z ziemi do lotu, wyleciały przez okno i krążyły wokół dworu. Wreszcie zmęczone usiadły na drzewach i wybudowały sobie gniazda.

Tymczasem zła siostra udawała zaniepokojenie z powodu ich nieobecności, a chłopci dziwili się, że wokół dworu tak często kręcą się czarne ptaki, które - o czym wielu bajało - rzekomo ludzką mowę znają.



Minęły miesiące i lata od owego zdarzenia, a okrutnej siostrze zaczęła ciążyć ostatnia z rodzeństwa - złotowłosa, która wyrosła na pannę o niezwykłej urodzie. Lud ją kochał i w niej chciał widzieć swą przyszłą panią. Tym razem kruczowłosa do babki o pomoc udać się nie mogła, bo znała jej słabość do młodszej siostry, więc pewnej nocy zakradła się do komnaty dziewczeczki i wbiła sztylet prosto w jej serce, a ciało zagrzebała w ogrodzie przyległym do dworu. Chcąc ukryć ślady swej zbrodni, zeszła nad brzeg Noteci, by uprać skrwawioną suknię. Zobaczyła to babka, która o poranku zbierała zioła po drugiej stronie rzeki. I... domyśliła się prawdy.

- Miarka się przebrała, a wina ukarana być musi - postanowiła. I wypowiedziała zaklęcie, o którym wiedziała, że jest straszne, ale nigdy dotąd go nie użyła. Gdy wyrzekła ostatnie słowo, porwał się z nagłą wicher ogromny, drzewa ku gruntowi przygiął, aż ziemia zadrżała.

Dwór zamienił się w ogromny głaz, w którego wnętrzu zamknięta została okrutna siostra. Wicher zepchnął kamień ze wzgórza i stoczył ku strumieniowi. I tu leży do dziś.

Niektórzy powiadają, że w noc, gdy zakwita kwiat paproci, podczas której dziwy się dzieją w białośliwskim parku, kamień się cicho otwiera, a z niego wychodzi zła siostra, siada na brzegu strugi i rzewne łzy leje. Teraz dopiero żałuje za swoje czyny, ale o wybaczenie na próżno prosi.

Śluby kawalerskie



raciom zmęczenie zaczęło coraz bardziej doskwierać. Choć silni byli, barczyści i zaprawieni w łowach, całodniowa pogon za odyńcem dała im się we znaki. Teraz dumni z trofeum, które dźwigali na swych barkach, szukali odpowiedniego miejsca na nocleg.

- Tu spoczniemy - powiedział najstarszy z nich, a pozostali skinęli głową na znak aprobaty.

Istotnie, miejsce znakomicie nadawało się na obozowisko. Niewielki ostrów od zachodu oblewały wody jeziora, a od południa i wschodu rozlewiska rzeki. Połączenie z lądem stanowiło wąskie przejście od północy.

Godzinę później, gdy słońce chyliło się ku zachodowi i niewielka bryza znad jeziora przyniosła wieczorny chłód, siedzieli przy ognisku, z apetytem zjadając udziec odyńca, którego skóra suszyła się, rozpięta pomiędzy gałęziami jednego z drzew, rosnących na półwyspie.

Byli syci i zadowoleni. Bogowie okazali się przychylni, obdarzając ich taką zdobyczą. Wiedzieli, że muszą im podziękować, zwłaszcza że następnego dnia mieli się rozstać. Tylko jak zadowolić bogów? Jaki dar zapewniłby ich przychylność? Nie mieli kogo zapytać, albowiem podążając ze wschodu, od wielu dni nie widzieli ani żerca, ani świętego gaju.

- Dla Jarowita, który dopomógł mi zabić odyńca, gotów jestem zaprzysiąc, że do czasu, nim się ponownie spotkamy, nie tknę niewiasty - powiedział nagle ten, którego strzała utkwiała w sercu zwierzęcia.

Dwaj pozostali dość chętnie przystali na to niełatwe przyrzeczenie. Przywykli, że najstarszy brat im przewodził.



Następnego dnia każdy z mężów ruszył w swoją stronę. Przed rozstaniem postanowili, że za pięć lat spotkają się ponownie na ostrowie, który dał im schronienie ostatniej nocy, bo to miejsce bezpieczne i w sam raz na założenie osady. Spodziewali się ją zbudować, licząc na łupy i niewolników, których uda im się zdobyć podczas wypraw wojennych.



Najstarszy z braci wyruszył na północ, ku krainie Pomorców. Nigdy nie widział morza, ale nie wiedzieć czemu, ciągnęło go nad Bałtyk, tym bardziej że słyszał o jego niezwykłym bogactwie - bursztynie, po który wyprawiali się kupcy z najdalszych stron świata.

Średni z braci podążył na zachód, do kraju Wioletów. Pobożny był, chciał więc odwiedzić stolicę Światowida w Arkonie, na wyspie Rugii. Liczył też na wojenne łupy, jako że na zachodzie nastał niespokojny czas, od kiedy Niemcy zaczęli najeżdżać tamtejszych Słowian i na nową wiarę ich nawracać.

Najmłodszy z braci wyprawił się na południe i po przejściu Noteci trafił do krainy Polan. Przekonawszy się rychło, że to waleczne plemię złupić się łatwo nie pozwoli, postanowił powrócić na półwysep. Po drodze trafił na dwór Zbyluta z Panigrodza, wywodzącego się ze znamienitego rodu Pałuków. Tam spotkał posażną i nadobną dziewczę, którą pokochał i zabrał ją z sobą jako legalną małżonkę.

Znając teren z poprzedniego polowania, wiedząc o jego zasobności nie tylko w dziki, ale i w inną zwierzynę oraz ryby w okolicznych wodach, postanowił osiedlić się na półwyspie na stałe. Wybudował dom z drewna, którego w okolicy nie brakowało, oraz palisadę od północnej strony, by miejsce uczynić bezpiecznym. I czekał na przybycie braci z duszą na ramieniu, bo przecież danego im słowa nie dotrzymał. Strachu przed Jarowitem nie czuł, bo podczas pobytu w krainie Polan ochrzcił się, do czego namówiła go żona, pobożna wyznawczyni nowej wiary. Lata mijały, a w domostwie najmłodszego z braci coraz gwarniej było, bo co roku przybywał w nim nowy mieszkaniec.



Wiosną piątego roku na półwysep powrócili starsi bracia. Zastali teren już zagospodarowany, a widząc brata z uroczą białogłową, zawołali z wielkim gniewem: „łup żeńca”, co oznaczało bij i łup tego, który ośmielił się złamać kawalerskie ślubowanie i się ożenił. Do rozlewu krwi na szczęście nie doszło. Mężczyźni rychło ochłonęli, gdy zobaczyli gromadkę bratanków, z ciekawością zza spódnicy matki spoglądających na sumiaste wąsy swoich stryjów.

Starsi bracia przywieźli ze swoich wypraw liczne łupy oraz niewolników i niebawem ostrów zaroił się od nowych domostw. Osadzie zaś, która tu powstała, nadano imię Łobżenica, upamiętniając w ten sposób ową niespełnioną groźbę starszych braci.

Dzięki korzystnemu położeniu i kontaktom z Pałukami osada wkrótce przeistoczyła się w miasto. Jego założycielem był Wincenty, syn Piotra z Redgoszczy, który w 1314 roku otrzymał przywilej lokacyjny. Znamienne jest, że miał on dwóch braci, Piotra i Wierzbietę, a w herbie miasta znalazł się dzik.

Czyżby legenda o powstaniu Łobżenicy była nie tylko legendą?

Złote kręgle kruszewskiego pana



cale nie tak dawno temu, jak to na ogół bywa w legendach, wokół wsi Kruszewo, aż hen po Ujście, rozpościerały się pola pewnego bogatego szlachcica. Rezydował on w okazałym zamku, a jego poddani gnieździli się w lichych lepiankach z gliny i słomy. Szlachcic ów był człekiem skąpym nad wyraz i okrutnikiem. Siał strach w okolicy. Nie zważając bowiem na swe szlacheckie pochodzenie, trudnił się rozbojem, łupiąc kupców, przejeżdżających traktem z Czarnkowa do Ujścia, z taką bezwzględnością, z jaką ciemiężył swych chłopów pańszczyźnianych. Zmuszał ich nie tylko do darmowej pracy nawet w niedzielę, ale także do wysokich danin w naturze.

Pewnego roku powódź prawie w całości zniszczyła zbiory na chłopskich łąkach. Okrutny pan, nie bacząc na to nieszczęście, bezwzględnie zażądał corocznych danin. „A ten, kto nie ma czym płacić, niechaj dobytek swój sprzeda lub dzieci własne w niewolę odda - obwieścił poddanym, dodając jeszcze - opornym każę kijami grzbiet obić...”

Pewnego ranka, gdy dziedzic - jak zwykł to często czynić - wybierał się na polowanie, pojawił się na podwórzu zamkowym jeden z jego poddanych z prośbą, by z uwagi na nieurodzaj i chorobę, która dotknęła jego rodzinę, darował mu na czas jakiś zobowiązania. Bezдушny pan, nie wyrzekłszy słowa, z szyderczym uśmiechem skierował na chłopka konia, tratując go i powodując w rezultacie ciężkie okaleczenie - utratę ręki. W podobny sposób postępował z innymi poddanymi, co pozwoliło mu na zgromadzenie pokażnej ilości złota, za które postanowił sprawić sobie zabawkę, jaką poznał podczas zagranicznych wojaży. Kupił i sprowadził na zamek kręgle. Całe ze złota.

Od tego czasu okoliczni mieszkańcy niemal codziennie, aż do późnych godzin nocnych, słyszeli pańską zabawę - łoskot toczących się kul. Chłopi po cichu przeklinali złego dziedzica. Tylko ten bez ręki głośno złorzeczył:

- Życzę ci, podły szlachciuro, abyś w piekle nie zaznał spokoju i po wsze czasy, dzień po dniu te krwawe, złote kule toczył musiał.



Niebawem dzięki opatrzości życzenie to miało się spełnić. Podczas polowania dziedzic spadł z konia tak niefortunnie, że łamiąc sobie kręgosłup, zmarł. Pochowano go w kaplicy zamkowej z przepychem godnym jego majątku, ale spadkobiercy niezbyt długo cieszyli się włością, które im pozostawił. Spełniła się bowiem groźba pokrzywdzonego poddanego. Co noc w całej okolicy słyszano głośny łoskot kul, widywano olbrzymią kręgielnię jasno oświetloną, a w niej ducha zmarłego szlachcica, toczącego do brzasku złote kule. Zjawa znikwała wraz ze świtem, daremnie czekając, aż ktoś zdejmie z niej przekleństwo i zabierze złote kule.

Spadkobiercom okrutnego dziedzica te conocne łoskoty i zjawy do tego stopnia obrzydziły życie, że pewnego dnia wyjechali, pozostawiając zamek na pastwę losu. Budowla z biegiem czasu zamieniła się w ruinę, którą miejscowi rozebrali, wykorzystując resztki cegieł i kamieni do budowy własnych domostw. Tak, że ślad po niej nie pozostał.



Mijały lata. Zjawa coraz rzadziej dawała znać o sobie, a i mieszkańcy zapomnieli o krwawym dziedzicu i jego złotych kulach. Miejsce po zamku porosło trawą i krzewami. Pewnego dnia tam właśnie pasterz z Kruszewa wypasał owce. Znużony gorącym lipcowego popołudnia, przysnął na chwilę, a gdy się obudził, zaczął pośpiesznie szukać stada, które rozpiezchło się po okolicy. Jakie było jego zdziwienie, gdy wchodząc w krzewy zarastające miejsce po dawnym zamku, spostrzegł nieznanego mężczyznę grającego w kręgle. Jeszcze bardziej się zdumiał, gdy ten poprosił go o pomoc przy ustawianiu kul. Oczywiście za sowitym wynagrodzeniem. Pasterz przystał na tę propozycję. Mijały godziny i dzień powoli dobiegał końca, a mężczyzna wciąż grał i grał.

Zniecierpliwiony takim obrotem sprawy, pasterz zażądał natychmiastowej zapłaty, chciał już wreszcie zapędzić stado do zagrody. Zdziwił się po raz drugi, gdy grający zaoferował mu zamiast pieniędzy kręgle. Niezadowolony pasterz wziął jedną z kul, pozostałe pogardliwie odrzucił i ruszył w kierunku domu. Uszedł

może dwadzieścia kroków, gdy usłyszał za plecami jakiś dziwny łomot, a odwróciwszy się, zobaczył zapadającego się pod ziemię nieznajomego, z którym zniknęły też pozostałe kręgle.

Po kilku dniach, jako że w Ujściu przypadał właśnie dzień targowy, wybrał się pasterz do miasta i zabrał ze sobą kulę. Zdziwił się kolejny raz, gdy okazało się, że jest ona ze szczerzego złota. Pożałował, że wówczas przy ruinach nie zabrał pozostałych, choć i ta jedna pozwoliła mu na dostatnie życie aż do śmierci.

Od tamtego czasu wielu z tych, którzy uwierzyli w opowieść pasterza, podążając traktem z Ujścia do Czarnkowa, zatrzymywało się na noc w Kruszewie w nadziei, że uda się im spotkać kołatającą się tam duszę dziedzica i zdobyć złote kule. Daremnie.

Opowieść o Sławianie



ięcej niż tysiąc lat temu żył na Krajnie Sławian, którego zagroda znajdowała się nieopodal szlaku, zwanego bursztynowym, wiodącego przez Łobżenicę i Złotów na północ, hen ku Kołobrzegowi. Za Łobżenicą droga prowadziła koło gaju dębowego, gdzie kapłani pogańscy, czczący Światowida, palili na polanie wieczny ogień obok wiekowego dębu. Przy ołtarzu kamiennym, na którym płonął znicz, stał cokół również kamienny z wyrzeźbionym wizerunkiem bóstwa. Na skraju polany szumiało źródło. Tu lud krajeński, wonczas ciągle jeszcze żyjący w pogaństwie, składał dary swym bogom. Jedynie Sławian nigdy tu nie zaglądał. Miał lat pięć, gdy biskup kołobrzeski Reinbern ochrzcił całą jego rodzinę w Łobżenicy, gdzie jego ojciec był grodnym z rozkazu króla Bolesława.

Kapłani i wyznawcy Światowida szanowali Sławiana, dlatego nie robili mu krzywdy, choć nie rozumieli i nie akceptowali jego wiary w Jezusa Chrystusa - tak wówczas nazywano na Krajnie chrześcijan.

Po klęsce, jaką ponieśli Pomorcy pod Nakłem od Bolesława Krzywoustego, książę powierzył mu pieczę nad grodem warownym w Łobżenicy, a zabrawszy do swej drużyny rycerskiej trzech jego synów, wyruszył na dalsze boje o Kołobrzeg i Szczecin. Po zwycięskim zakończeniu wojny Bolesław Krzywousty zaczął ewangelizować Pomorze. Zadanie to powierzył misjonarzom, którym przewodził św. Otton. Wtedy Sławian wrócił do swego dworzyszczu, a jego synowie pełnili po kolei straż jako grodni Łobżenicy. Byli oni gorliwymi chrześcijanami. Za ich przyczyną wygasł święty ogień pogan pomorskich w gaju dębowym. Z kamiennego cokołu, na którym uwidoczniiony był wizerunek bożka, zrobili chrzcielnicę.

Po kilkunastu latach pasterz, strzegący krów na polanie leśnej, ujrzał ogromną jasność bijącą z konarów najstarszego dębu, a w tym blasku postać Bogarodzicy. Sławian, już wtedy starzec stuletni, kazał synom zanieść się w lektycę na miejsce objawienia, gdzie pobożni pasterze postavili już szopę nad źródłem. Wybierając się w drogę, polecił zabrać wszystkie włócznie wojenne, które służyły rodowi podczas



bitew u boku książąt piastowskich, i związać je rzemieniem. Kiedy stanęli na miejscu cudu nad strumieniem obok dębu, gdzie pasterzowi ukazała się Matka Boska, Sławian ukląkł, wznosił ręce ku niebu i zaczął się modlić. Gdy skończył, kazał przynieść owe spętane rzemieniem włócznie i rzekł do synów swoich:

- Na tej ziemiście postawicie chram święty dla matki naszej niebieskiej, która błogosławieństwo nieść będzie tej krainie. A teraz, moi synowie, bierzcie po kolei wiązkę włóczni i starajcie się ją przełamać.

Włócznie jednak związane rzemieniem nie ugięły się, choć mężczyźni mocarni byli i niejednen z nich podkowy łamać potrafił. Wówczas to staruszek kazał sobie podać wiązkę. Rozwiązał rzemień, wyjął swoją własną włócznię i złamał ją bez trudu.

- Teraz widzicie - rzekł do swych synów. - Oddzielnie każdy łatwo bywa pokonany. W zgodzie i jedności jest siła. Gdy będziecie trzymać się razem, jak te włócznie, nikt was nie pokona. Tę zgodę i jedność zalecam memu rodowi jako ostatnią moją wolę. Oby tą jednością żył zawsze cały naród, a żaden wróg nie będzie mógł nad nim zatriumfować.

Wkrótce potem umarł stary Sławian, a synowie pochowali go na wzgórzu luchowskim obok Łobzenicy. Wypełnili też jego testament. Żyli w zgodzie i razem zbudowali w świętym gaju, na miejscu tysiącletniego dębu kościółek drewniany. Przeniesiono do niego kamienną chrzcielnicę, która do tej pory stała w kapliczce nad źródłem.

Mijały wieki. Kościół wielokrotnie ulegał zniszczeniu aż do czasu, gdy wojewoda poznański Andrzej Karol Grudziński, właściciel ośmiu miast i wielu wiosek w Wielkopolsce, a pośród nich także Łobzenicy, ufundował solidny, murowany kościół na miejsce spalonego przez heretyków podczas pamiętnego potopu szwedzkiego.

Chrzcielnica przetrwała i wieki całe służyła do udzielania sakramentu chrztu świętego. Dopiero w nowym, murowanym kościele postawiono ją w kruchcie, przed główną bramą, aby służyła za kropielnicę. Stoi w tym miejscu do naszych czasów, a jej losy, wraz z opowieścią o Sławianie, opisał w książeczce pt. „Legendy góreckie” ksiądz Zachariasz Kruża, przyznając jednocześnie, że po części jest ona wytworem jego fantazji.

Legenda o powstaniu Piły



ziało się to w czasach, gdy król Władysław Łokietek toczył zażarte wojny z Brandenburczykami, którzy zamordowali wprzód Przemysła II, ostatniego z Piastów wielkopolskich, zagarnęli ziemię nadnotecką. Słabym jeszcze będąc, król poprosił o pomoc litewskich pogan oraz książąt władających wówczas Pomorzem Zachodnim. Sam zaś przybył do Ujścia wraz z wojewodą kaliskim Henrykiem z Rynarzewa, który przewodził drużynie rycerzy wielkopolskich.

Objąwszy we władanie miasto i osadziwszy w nim swojego starostę, legł Łokietek w izbie miejscowego wójta, by wypocząć po trudach podróży. Sen jednak nie nadchodził. Już sześć lat minęło od czasu, gdy opłaciwszy sowicie papieża, uzyskał jego zgodę i koronował się w Krakowie na króla Polski, a ciągle jeszcze musiał zmagać się ze swymi piastowskimi kuzynami, którzy nie chcieli uznać jego zwierzchności. Nizał jak paciorki na naszyjnik poszczególne księstwa i ksiąstewka, stanowiące ongiś ziemię jego wielkich przodków, tocząc równocześnie wojny z wrogami zewnętrznymi. Żmudna była to praca i niewdzięczna, a lata mijały. Przekroczył już sześćdziesiątkę i starcze dolegliwości dawały mu się we znaki. Wreszcie, odwróciwszy myśli od zmartwień, zasnął.

Nazajutrz, zgodnie z wcześniej podjętym zamiarem, wybrał się na polowanie. Chciał nie tylko oderwać choć na chwilę myśli od trapiących go kłopotów, ale także bliżej poznać krainę, o której powrót do korony polskiej zabiegał. Wraz z nieliczną grupą najwierniejszych rycerzy jeszcze z czasów, gdy był władcą jednego z ksiąstewek kujawskich, oraz kilkunastoma pachołkami ruszyli na północ, wzdłuż rzeki, która w Ujściu wpadała do Noteci.

Przed nimi rozciągała się olbrzymia puszcza, pełna mokradeł i trzęsawisk, będących groźną barierą, niesłychanie trudną do sforsowania. Kto miał odwagę wtargnąć w te knieje, raczej trzymał się brzegu rzeki. Przez gęsty bór wiodły różne tajemne przesmyki, znane tylko miejscowym. Zboczenie z nich mogło zakończyć się zniknięciem całego rycerskiego orszaku lub kupieckiej karawany w tajemniczej otchłani grzęzawiska.



Takim to właśnie wąskim i trudnym do przebycia przesmykiem przedzierał się król ze swym orszakiem, wypatrując zwierzyny, na którą warto by zapolować. Zbliżał się wieczór, minęli właśnie kolejne zakole rzeki, która w tym miejscu skręcała na zachód, gdy na niewielkim pagórku, zaledwie o rzut kamieniem od nich, dostrzegli jelenia.

W promieniach zachodzącego słońca wyglądał jak majestatyczny posąg. Zaniepokojony odgłosami zbliżającego się królewskiego orszaku, wspiął się na tylnych racicach, by umknąć przed ludźmi. W takiej pozycji dopadła go strzała królewską ręką z łuku wypuszczona. Jeleń padł martwy. Rycerze zsiadli z koni i otoczyli zdobycz. Jeleń był potężny, stary i zaprawiony w bojach o przywództwo w stadzie. Prawdziwy król puszczy.

Milczenie podziwiających królewską zdobycz przerwał stukot siekier, dochodzący znad rzeki.

- Leć no tam który - zawołał Łokietek do pacholców. - A sprawdź, z kim mamy do czynienia.

Migiem wykonano królewski rozkaz.

- To rybacy, panie. Tutejsi. Naszą mową mówią.

Tymczasem orszak królewski wyszedł na rozległą polanę, położoną w widłach rzeki i wpadającego do niej strumienia. Na jej północnym skraju w górę szła cieniutka strużka dymu. Stanęli. Król zsiadł z konia i ruszył w stronę ogniska. Dopiero w połowie polany spostrzegł kilka, mocno zagłębionych w ziemi, kurnych chat na skraju puszczy oraz jakąś niedokończoną budowlę z drewna. Stukot siekier ustał, a zza jednej z chat wyłonił się pochylony, ogorzały starzec. W prawym ręku trzymał wyszczerbioną siekierę, drugą dłoń wspierał na sękatym kosturze.

- Pochwalony – odezwał się król.

- Na wieki wieków – odparł dziad. Z niepokojem spojrzał na obcego, a potem na zbrojnych i wozy zataczające krąg na polanie, co dowodziło, że mają zamiar rozbić tu obóz. - A dokąd to Bóg prowadzi?

- Rozmawiasz z królem Władysławem - odezwał się karcącym tonem jeden z towarzyszących Łokietkowi rycerzy. - Co to za osada? Jak się zwie?

- To nie osada, panie. Tylko kilka chałup. My tutejsi. Żywi nas pusz-
cza i rzeka. A mnie zwą Wirzbięta - odparł starzec, na którym fakt,
iż rozmawia z królem, nie zrobił wrażenia.

Godzinę później miejscowi i goście zgodnie siedzieli przy ognisku,
na którym piekł się jeleń. Woń przyrządzonego przez królewskiego ku-
charza mięsa oraz piwo, którego baryłkę przynieśli miejscowi, sprawi-
ły, że dziad się rozgadał.

- Była tu ongiś wieś, a nawet ponoć gród potężny i bogaty. Starzy opo-
wiadali, że dawnymi czasy wiódł tędy szlak, którym kupcy z Italii po
bursztyn nad morze wędrowali. Gród rozciągał się tuż przy rzece i był
z trzech stron otoczony wodą oraz mokradłami, a tylko od tamtej stro-
ny - wskazał ręką na północ - usypany był wał ochronny. Ale to pewno
bajdy, choć kilka dni temu, przy karczowaniu chaszczy nad rzeką, zna-
leźliśmy jakieś stare skorupy, a także przegniłe belki ciosane.

Król, zmęczony polowaniem i podróżą, zdawał się przysypiać, znu-
żony monotonnym głosem starca. Nagle ocknął się i wskazał ręką na
drewnianą budowlę, która dominowała wśród lepierek.

- A co tu budujecie? - zapytał dziada.

- To piła, panie. Znaczy się tartak - odpowiedział. - To nasza i naszych
dzieci przyszłość - dodał.

- Macie więc nazwę dla swej osady: Piła. Ale aby dodać jej powagi
i dlatego, że tak gościnnie mnie przyjęliście, nadaję waszej osadzie
herb. Niech będzie nim jeleń na pamiątkę tego, którego wspólnie zjedliśmy.
Mam nadzieję - kończył Władysław - że kiedyś powstanie tu gród znacznie-
szy niż ten, o którym bajaliście przy ognisku.

Sen malarza góreckiej Madonny



Wiele miast i miasteczek pretendować może do miana stolicy Krajny, ale dla nikogo nie ulega wątpliwości, że duchowym centrum regionu jest Górka Klasztorna koło Łobżenicy. To tu bowiem w drugi dzień świąt Zesłania Ducha Świętego Anno Domini 1079 w gaju, położonym w miejscu starodawnego kultu pogańskiego, ukazała się pasterzowi Matka Boża z Dzieciątkiem na ręku. Datę tego objawienia podał kronikarz bernardyński w sześćset lat później, ale skąd ją zaczerpnął, dziś stwierdzić nie można.

Gdy wieść o cudzie rozeszła się po bliższej i dalszej okolicy, wielu ludzi przychodziło na to miejsce święte do cudownej studni, prosząc Matkę Boską o miłosierdzie i ratunek w chorobie. Wielu z nich, zażywszy wodę ze studni, powracało zdrowo do swych domostw, a sława łobżenickiego gaju zataczała coraz szersze kręgi.

Ponieważ wonczas tym miejscem władali pomorscy poganie, dopiero po 1103 roku, gdy król Bolesław Krzywousty z Krajny pogaństwo przepędził, panowie Łobżenicy, a byli nimi trzej bracia: Wikt, Łochocim i Walenty (synowie Sławiana, pierwszego na Krajnie znanego z legendy chrześcijanina), słysząc o objawieniu i cudach, w 1111 roku nad studnią wystawili kościół drewniany, dębowy pod wezwaniem Najświętszej Panny Nawiedzenia.

Nie wiadomo, kiedy powstał pierwszy obraz Matki Bożej Góreckiej. Z kronik bernardyńskich można wywnioskować, że namalowany na desce wisiał on na dębie, zanim wybudowano kościółek.

Legenda o malarzu Matki Bożej Góreckiej jedynie w szczegółach różni się od benedyktyńskiej wersji, a powiada ona - według księdza Zachariasza Kruży, który ją spisał - że kiedy trzej bracia zbudowali pierwszą świątynię, nazwali Górką miejsce, gdzie ona stała. W kościełku tym był tylko zwyczajny ołtarz bez obrazu. Nabożeństwa odprawiały się tu bardzo rzadko, gdyż zaledwie jeden kapłan obsługiwał z Łobżenicy całą okolicę.

Trzej bracia rozesłali więc wieści po Krajnie i sąsiednich ziemiach, że potrzebują koniecznie malarza do wykonania obrazu Bogarodzicy.



Zbiegli się więc do Łobzenicy zarówno sławni artyści z dworów kneziowskich, jak i zupełnie prości malarze ludowi. Tacy, co zwyczajnym czernidłem wykonywali sylwetki, jak i ci, którzy byli biegli w sztuce kolorowej.

Na naradę, jaka odbyła się w Górcie przy studzience, zwołano nie tylko artystów, ale także świadków objawienia. Stary pasterz, który miał widzenie, już nie żył. Trzeba było więc zebrać wiadomości od tych, którym on swoje widzenie opowiadał. Ale zgody między nimi nie było. Niektórzy spośród tych, co rozmawiali jeszcze z pasterzem, twierdzili, że Matka Boska ukazała się mu tylko do połowy postaci, trzymając Pana Jezusa na ręku. Inni mówili, że pokazała się w całej postaci, stąpając na kuli.

Pierwsze spotkanie malarzy ze świadkami objawienia niczego nie wyjaśniło, dlatego umówiono się na dzień następny na rozmowę u panów Łobzenicy. Nazajutrz zabrakło zrazu wśród naradzających się jednego z tych prostych artystów ludowych, o którym mówiono dnia poprzedniego, że był twórcą świątka przydrożnego w Kcyni. Podobno jego Jezusik był tak piękny, że księża chcieli umieścić go w kościele. Człek ów podczas narady przy studzience nie brał udziału w sporze, lecz według tego, co mu serce podpowiadało, nakreślił na płótnie moment objawienia się Najświętszej Maryi Panny. Namalował więc dąb potężny, rozłożysty, a na nim Matkę Boską w pełnej postaci, z Dzieciątkiem na rękach, stającą na księżycu. Na polanie obok źródła klęczał pasterz i jego bydełko.

Kiedy niedokończony obraz wniósł artysta do izby obrad w Łobzenicy, oczy wszystkich były skierowane na jego wychudłą, skupioną postać i na pierwsze zarysy jego dzieła na płótnie. Wizerunek Matki Najświętszej był na tym obrazie najlepiej wykończony.

- Miałem sen dzisiejszej nocy - mówił malarz do wszystkich. - Nakreśliłem to, co widziałem. Bogarodzica miała księżyc pod stopami. Widno, każe nam pogardzać rzeczami tego świata, które są zmienne jak twarz miesiąca. Dzieciątko Jezus trzymała na ręku, a Dziecina Boża wskazywała rączką na Nią, jakby chciała wszystkim przechodniom powiedzieć: „Oto Matka wasza”.

Wszystkich ogarnął nastrój uwielbienia dla prostego malarza i jego dzieła. Zaczęli głośno wołać:

- Niech maluje, niech kończy dzieło dla chramu, sama Bogarodzica wybrała go do tego.

Trzej bracia polecili więc jemu wykonać wizerunek Matki Najświętszej naturalnej wielkości. Praca nad nim trwała długie tygodnie. Artysta malował przy studzience. Zanim wziął pędzel do ręki, klęczał parę godzin, zatopiony w modlitwie. Wreszcie uśmiechnięta postać Bogarodzicy spojrzała na swego malarza radosnym, promiennym wzrokiem, jakby chciała mu podziękować za trud i poświęcenie. Ten wyraz radości zachował obraz na zawsze.

Trzej bracia tak sobie upodobali ten wizerunek, że kazali go umieścić w kościele łobzeńickim, wspanialszym niż górecki, gdzie co niedzielę odprawiały się nabożeństwa. Wizerunek jednak znikał dwukrotnie, przenosząc się w nocy do kościoła góreckiego. Gdy słudzy kościelni po raz trzeci przenieśli obraz do Łobzenicy, wówczas Matka Boska przy wszystkich przemówiła:

- Zanieście mnie na tę rolę, gdzie ja sama mieszkać wolę.

Nie chciano już dłużej buntować się przeciwko tak wyraźnej woli Matki Najświętszej. Zebrał się lud z całego grodu i pod przewodnictwem proboszcza i trzech braci zaniesiono obraz do Górki. Odtąd działy się tutaj liczne cuda i nawrócenia, a woda ze studzienki leczyła chorych.

Jak kuźnia pojednała Niemców i Polaków



rajna, ze względu na liczne jeziora, lasy i bagna, a przede wszystkim także z powodu klimatu i niezbyt urodzajnych pól, zawsze w przeszłości należała do najsłabiej zaludnionych regionów zachodniej części Rzeczypospolitej. Jeszcze przed wojnami szwedzkimi, a po kolejnej epidemii dżumy, sytuacja stała się tak dramatyczna, że ówczesny starosta ujski Stanisław Górka, który w imieniu króla sprawował pieczę nad tym terenem, zdecydował o sprowadzeniu kolonistów z Niemiec. Ziemie i rozległe lasy, spustoszone epidemią, potrzebowały pracowitych i zaradnych gospodarzy, a Niemcy, choć w większości heretycy, już wówczas z tych cech swego narodowego charakteru byli w Rzeczypospolitej znani.

Sześć niemieckich rodzin przybyło niebawem do Ujścia, gdzie nadano im prawo założenia osady na północ od Piły, przy trakcie do Krajenki. Osadnicy, gdy przybyli w wyznaczone im miejsce, tak bardzo zachwycili się jego malowniczością, że osiedle swe, które rychło wznieśli, nazwali Schonfeld (Piękne Pole). Z zapalem więc zabrali się za uprawę opuszczonych pól. Byli samowystarczalni, jako że niemal każdy z nich posiadał umiejętność wykonywania innych zawodów, zwłaszcza rzemieślniczych. Był więc wśród nich kołodziej, cieśla, bednarz i kowal. Przybył z nimi także kaznodzieja, który niebawem zamieszkał w chacie obok niewielkiego zboru ewangelickiego.

W najbliższej okolicy z rzadka tylko mieszkali polscy kmiecie, którzy byli katolikami. W owych czasach te różnice religijne stanowić mogły zarzewie konfliktu, bowiem nie ucichła jeszcze w zachodniej Europie związana z wojnami religijnymi burza, której echo docierało również na Krajnę. Z początku obie grupy, niemieccy osadnicy i miejscowi Polacy, traktowały się z nieufnością i podejrzliwością, a nawet - u tych najbardziej krewkich po obu stronach - z wrogością, ale z czasem następowało coraz większe zbliżenie mimo różnic językowych, wyznaniowych i kulturowych.

Pierwsi te bariery zaczęli przełamywać katolicy. Podpatrywali przyszłów, jak mieszkają i pracują, jak mówią i jakich używają narzędzi.



Szczególne zainteresowanie miejscowych wzbudziła praca kowala, który wykuwał żelazne lemiesz, podkuwał konie i wyrabiał żelazne narzędzia. Dotychczas takich narzędzi tu nie używano, bo trzeba było kupować je od wędrownych handlarzy, na co było stać tylko nielicznych.

Kowal więc miał pełne ręce roboty. Wkrótce musiał zaprzestać uprawy ziemi i oddać się tylko pracy w kuźni. Swych klientów - zarówno Niemców, jak i Polaków - traktował z jednakową starannością, choć nie wszystkim się to podobało.



Paul Schmied, bo takie nazwisko kowala zapamiętała legenda, miał córkę, która była, co Niemkom rzadko się zdarza, dziewczką niezwyklej urody. Smalili do niej cholewki synowie najbogatszych osadników we wsi. Bez rezultatu. Rychło okazało się, że swe serce oddała młodemu Polakowi, synowi tkacza z Piły, u którego kowalówna kupowała postaw sukna na spódnice. I tak go poznała. Młodzi zakochali się w sobie bez pamięci i - mimo że on był katolikiem, a ona ewangeliczką - myśleli o ślubie. Długo proboszcz z Piły i pastor z Schonfeld zastanawiali się nad tym, jak ten problem rozwiązać. Odpowiedź znaleźli w Biblii, w której o miłości napisano, że „żar jej to żar ognia, płomień Pański” i tak połączyli ich węzłem małżeńskim. A na huczne weselisko zaproszeni zostali Niemcy i Polacy z całej okolicy oraz rodzina pana młodego z Piły.

Od tego wydarzenia zniknęły wszelkie uprzedzenia dzielące osadników z miejscową ludnością, a kuźnia w Schonfeld stała się miejscem spotkań wszystkich męskich mieszkańców okolicy. Po kilku latach Paul Schmied pobudował drugą kuźnię dla swojego zięcia, który po ślubie terminował u niego. Powstała ona bliżej Piły, przy drodze z Schonfeld do Piły. W okolicy tej bowiem, w dolinie rzeczki Rudy zaczęto eksploatować złoża tzw. rud darniowych.

Odtąd już w obu kuźniach od rana do nocy, bez względu na porę roku, słychać było uderzenia młotów o kowadło. Dzięki szerokiemu zastosowaniu żelaza poziom gospodarczy okolicy bardzo się poprawił, a nazwy „Stara Kuźnia”, „Kuźnica Pilska”, „Kuźnik” przetrwały przez wieki do dziś.

Jak pan bogaty dziadem proszalnym został



ył na Krajnie pan bogaty, otoczony kochającą rodziną i liczną służbą. Włości jego aż do Gdańska sięgały, a były to pola, lasy i jeziora, w które okolica obfitowała. Niczego jemu nie brakowało, więc pan ów korzystał z uroków życia, czerpiąc pełnymi garściami.

Jedną z jego rozlicznych pasji było polowanie. Na dworze swym, w przestronnej szopie, psiarnią zwanej, hodował psy myśliwskie, którymi zajmował się zatrudniony przez niego łowczy. Sam pan też często tam zaglądał, mając w tym upodobanie. Kochał bowiem te zwierzęta, a zwłaszcza jedno z nich - charta, którego Kusym nazywał. To jego wężowci i innym myśliwskim talentom zawdzięczał trofea, zdobiące ściany jego dworu. Złośliwi, których - jak wiadomo - nigdzie nie brakuje, powiadali, że ów Kusy bliższy był sercu pana niż niejeden członek jego rodziny.

Był to czas, gdy wieść o cudach Matki Boskiej Góreckiej docierała do najdalszych zakamarków Krajny i Pomorza. Ciągnęli więc do jej cudownego obrazu oraz źródła, przy którym się pastuszkowi ukazała, liczni pielgrzymi z okolicy oraz dalekich stron. Wielu Matka Najświętsza okazywała tu swoją moc jako uzdrowicielka chorych, dlatego pielgrzymi zabierali zawsze wodę ze studzienki, kiedy wracali do domu z odpustu.

Wybrał się też na odpust do Klasztornej Górki ów pan bogaty, który jako katolik w cuda Matki Bożej wierzył i z jej źródła zapragnął trochę wody zaczerpnąć, bo lat przybywało, a wraz z nimi choróbska różne jemu i najbliższym coraz częściej się przydarzały.

Podróż zajęła mu trzy dni, nim stanął w zajeździe u Żyda w pobliskiej Łobzenicy. Następnego dnia zadzwonił do furty klasztornej, prosząc braciszka o flakonik na „wodę Matki Boskiej”. Braciszek nie odmówił mu tej przysługi.

Po uroczystościach odpustowych, które w II Dzień Zesłania Ducha Świętego w klasztorze tak wtedy, jak i dzisiaj obchodzono, pan bogaty szczęśliwie powrócił do domu. Tu jednak czekała na niego zła wiadomość. Jego ukochany chart zachorował na oczy. Na zamglonych źrenicach ledwie dźwigały mu się powieki, a z zaczerwienionych spojówek sączyła się ropa. Psina smutnie spoglądała na swego pana, a ten



litością zdjęty, otworzył zaraz buteleczkę ze źródlaną wodą Matki Boskiej i potarł nią chore oczy charta. Kusy przy tej czynności warknął groźnie na swego pana.

Po kilku dniach oczy psa zaczęły nabierać radośniejszego wyglądu, ropa przestała cieknąć. Kusy zaczął się łąsić koło swego pana, jakby chciał go przeprosić za długą przerwę w polowaniach. Coś jednak niedobrego zaczęło dziać się z oczami pana. Początkowo pokazywały mu się czarne punkciki, które nieco przesłaniały oglądane przedmioty. Z punkcików zrobiły się wielkie platy, które zamazywały obraz świata. Na tym się jednak nie skończyło. Oczy ogarniała coraz większa niemoc. Wydawało się panu teraz, że cały świat tonie we mgle. W końcu otoczyła go wieczna noc. Z oczu zaczęła sączyć się ropa, jak przedtem u jego psa.

Zrozumiał wtedy pan bogaty, że użył wodę z cudownego źródła w złym celu, że zgrzeszył, choć nie do końca rozumiał, na czym jego występki polegał. Zwrócił się więc do swojego spowiednika, który rzekł mu:

- Nadużyłeś, panie, dobroci Matki Boskiej, która dała swoją moc wodzie źródlanej jedynie na to, aby leczyła ludzkie niemoce, aby koła cierpienia istot wolnych i rozumnych, obdarzonych duszą nieśmiertelną. Pozostałe stworzenia Boże, a więc świat zwierzęcy otrzymuje dary Stwórcy w inny sposób. Inaczej też niż człowiek głosi chwałę Bożą: nieświadomie, samym swoim istnieniem.



Ociemniały pan przyjął swój los jako pokutę za grzechy. Sprzedał cały swój majątek, a pieniądze rozdał ubogim. Sam zaś wziął do ręki kostur pielgrzymi i w stroju dziada odpustowego ruszył w świat ze swym wiernym chartem, który za przewodnika służył.

Można go było spotkać na gościńcach, przy kościołach, we wsiach i miastach. Uzbrojony w różaniec oraz plik świętych obrazków, tułał się od wioski do wioski, prosząc o wspomóżenie – miskę zupy albo kawałek chleba. Wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem, wierzono bowiem wtedy, że dziad ma specjalne względy u Najwyższego

i należy żyć z nim w zgodzie. Za miskę strawy modlił się we wskazanej przez darczyńcę intencji, snuł gawędy oraz przynosił wieści z dalekiego świata, bardzo pożądane zwłaszcza przez nie wychylające nigdy nosa poza najbliższą okolicę chłopstwo.

Widywano dziada również na odpustach w Górcie Klasztornej, gdzie w końcu pozostał na stałe. Tu śpiewał zawsze najpiękniejsze pieśni do Matki Najświętszej oraz najpobożniej się modlił. O losie dziada proszalnego wiedział tylko gwardian klasztoru, któremu wyznał swoje grzechy i prosił, aby po śmierci ogłosił historię jego życia - jako przestrogę dla innych.

O Maćku, który morę przechytrzył



Przed laty żył we wiosce na Krajnie parobek, którego gospodarz nazywał Maćkiem. Przybłądą bowiem był. Sierotą. Nie znał swego imienia i nie wiadomo, skąd przybył do wsi, gdzie znalazł dom i robotę. Jak to wówczas było w zwyczaju, parobek nie sypiał z gospodarzami w chałupie, lecz w niewielkiej komórcie przyległej do stajni. Gospodarze dobrze go traktowali i nie skąpili jada. Więc Maciek, choć musiał ciężko pracować, był zadowolony ze swego losu.

Mijały lata. Maciek z chłopca wyrósł na krzepkiego kawalera i jął rozglądać się za pannami, marząc o założeniu własnej rodziny. Wtedy we wsi pojawiła się mora. Przychodziła nocą do chłopskich chałup i dusiła upatrzone przez siebie osoby. A zachowywała się tak agresywnie i jędzowato, że budziła powszechny strach. Wjeżdżała do chałupy na rzeszocie i mimo zawartych drzwi przedostawała się przez dziurkę od klucza, po czym krążyła wokół stołu. Podczas tej jazdy jęczała, usuwała na bok ławy i zydle oraz inne przedmioty na drodze stojące. Ludzkie oczy dostrzec jej nie mogły, lecz poznawano ją po rumorze, który powodowała swym dziwacznym zachowaniem. Kiedy już najeżdżała się do woli, siadała na pierzynie i zaczynała dusić śpiącego. Tak napadnięta osoba jęczała bez przerwy w żelaznym uścisku mory i nijak wyzwolić się nie mogła. Nasycona nękaniami swej ofiary, schodziła z niej, siadała na rzeszocie i opuszczała domostwo, tak jak weszła - przez dziurkę od klucza.

Kto się rano budził, zmęczony srodze po nocnej napaści, a chciał poznać, kto w morę się wcielił, musiał zaprosić ją, mówiąc: „Przyjdź jutro wcześniej na śniadanie, a nie zapomnij łyżki, byś kaszy najeść się mogła.” Kto obcy następnego dnia rano pierwszy pojawił się w chałupie, był morą. Wtedy należało szybko sięgnąć po stojącą w kącie miotłę i przepędzić „gościa”. Twierdzili ludzie, że było to najskuteczniejsze lekarstwo na pozbycie się mory, która od tej pory nie pojawiała się więcej nocną porą w takiej chałupie, by dusić spokojnie śpiącego.

W ten sposób z domostw chłopskich przepędzona, znalazła sobie mora we wsi kolejną ofiarę - Maćka, samotnie sypiającego w przystajennej komórcie. Dusiła go każdej nocy, a że robiła to bez miłosierdzia, mizerniał chłopak z dnia na dzień i opadał z sił. Postanowił wreszcie



skończyć z tą jędrą. Za radą bab, które w zmaganiach z morą miały spore doświadczenie, kładąc się wieczorem na posłaniu, zmienił pozycję. Głowę ułożył w nogach, a nogi tam, gdzie dotąd spoczywała jego głowa.

W nocy mora, jak to wprzódy czyniła, zajechała na swym rzeszocie do przystajennej komórki, skrzyła od razu do łóżka, bo upodobała sobie nękanie bezbronnego dotąd parobka. Siadła na nim okrakiem i dusić go poczęła. Wnet zorientowała się, że miast szyi nogi obłapuje, nie czyniąc żadnej szkody Maćkowi, który smacznie spał, lekko pochrapując. Widząc się oszukaną, wpadła w złość taką, że wsiadła na rzeszoto i wyróciwszy wszystkie sprzęty, jakie w komórcy Maćka się znajdowały, wyjechała z rumorem na podwórze i znikła w czeluściach nocy.

Rankiem Maciek wstał wesół, bo dawno już tak wyspanym nie był. Rychło jednak po wyróconych stołkach poznał, że mora w nocy go odwiedziła i srodze zawiedziona opuściła jego komórkę. Wiedział więc, że powróci, by się zemścić. Bał się powtórzyć figiel z poprzedniej nocy i wpadł na nowy pomysł. Do łóżka włożył okorowany pień drzewa lipowego, a sam wieczorem położył się pod łóżko. Czuwał pełen nadziei i strachu.

Nadeszła północ. Mora zajechała na rzeszocie, przez dziurkę od klucza wdarła się do komórki, a okrążywszy stół trzy razy, zatrzymała się przy posłaniu Maćka. W ciemnościach błysnął długi nóż i parobek usłyszał, jak uderzył, zagłębiając się w miękkie lipowe drewno. Rozległ się szyderczy śmiech mory, która sądziła, że zabiła Maćka, a potem charakterystyczny szum i rumor przewracanych przedmiotów. Gdy nastała cisza, chłopak wygramolił się spod łóżka, gdzie ledwo usiadł w niewygodnej pozycji i zdążył dojrzeć jeszcze, jak mora śmiejąc się i cmokając, uchodziła w noc ciemną, coraz dalej i dalej.

Od tego czasu Maciek miał święty spokój, a mora, która tak długo go męczyła, przepadła bez śladu. Ludziska twierdzili, że przeniosła się do sąsiedniej wsi, by tam dręczyć ludzi. Maciek zaś przy ludzkiej pomocy spełnił swoje marzenia. Rychło znalazł pannę, która go z wzajemnością pokochała oraz dostał posadę gajowego. Na skraju lasu, o który obowiązany był dbać i porządku pilnować, wybudował chałupę i zamieszkał w niej z żoną. Żył długo i szczęśliwie otoczony gromadką dzieci, ciesząc się szacunkiem sąsiadów. Z czasem zatrudnił także parobka, który jednak nie w przystajennej komórcy, lecz w chałupie sypiał.

Jak kwestarz Gaudenty swego brata ze skąpstwa wyleczył



czasach, gdy Górkę pod Łobżenicą zaczęto nazywać Klasztorną, albowiem bernardyni objęli pieczę nad tym świętym miejscem, w niedalekim Łochocimie gospodarował dziedzic, człek bogobojny i braciszkom przychylny. Miał on dwóch synów i wielkopolskim zwyczajem starszego z nich przysposabiał do objęcia po sobie majątku, a młodszego posłał do szkół. Ten jednak o świeckiej karierze nie zamyślał i poczuwszy boże powołanie, wstąpił do zakonu bernardynów w Poznaniu.

Obaj chłopcy, choć bracia, usposobienia mieli różne. Starszy był gwałtownikiem nieufnym wobec świata i ludzi. Młodszy, mimo zakonnego rygoru, lubił dworować sobie ze swych współbraci, opowiadać facecje i wyczyniać różne psoty. A wszystko to czynił tak osobiwie, że nikt nigdy urażonym się nie poczuł. Wszak jedną cechą obaj bracia mieli wspólną - talent do pomnażania majątku.

Gdy zmarł ich ojciec, starszy brat objął po nim łochocimskie dobra i rychło potroił odziedziczony majątek. W tym czasie młodszy, któremu po złożeniu ślubów zakonnych nadano imię Gaudenty, szybko awansował w bernardyńskiej hierarchii i został kwestarzem. Zbierał datki na utrzymanie klasztoru w Poznaniu oraz na inne cele publiczne i charytatywne, a osiągał w tym dziele tak znaczne sukcesy, że rychło powierzono mu pieczę nad całym bernardyńskim majątkiem. Wędrował więc od klasztoru do klasztoru, ucząc braci trudnej sztuki kwestowania.

Zdarzyło się pewnego dnia, że brat Gaudenty, w drodze do sławnego klasztoru w Zamartem, zawitał do Górki. Po zakończeniu czynności urzędowych z tutejszym kwestarzem zamierzał odwiedzić swego brata, którego ziemie graniczyły z posiadłościami zakonu. Zaniechał jednak swych planów, gdy dowiedział się o sporach i kłótniach, jakie jego krewny wiodł ze swymi sąsiadami. Młody dziedzic z Łochocimia słynął bowiem ze skąpstwa i chciwości, a jako gwałtownik, który z byle powodu złością się unosił, prześladował ojców bernardynów pozwami



i listami, nie szczędząc w nich grózb i przekleństw, gdy przypadkiem jakaś sztuka była klasztornego weszła mu w szkodę. Tak było również z ostatnim listem, w którym donosił, że „baran klasztorny przeleciał przez zagon pszenicy i że rozkazał ludziom dworskim, aby za każdym następnym razem barana zarżnęli”.

Gaudenty przejrzał całą tę korespondencję. Kochał brata, ale równocześnie gorszyło go jego zachowanie. Postanowił więc dać mu nauczkę. Zauważył, że w listach z pogrózkami, wysyłanymi do klasztoru, po jednym lub kilku zdaniach napisanych w górnej części arkusza papieru, następował u dołu zamaszysty podpis dziedzica. Postanowił to wykorzystać. Odciął zapisany górny kawałek listu, a na dolnej, niezapisanej części, powyżej podpisu, wykaligrafował następujące zdanie: „Wydać z obory sto baranów dla klasztoru w Górcie”. Dał ten list kwestarzowi góreckiemu, gdy właśnie wybierał się w obchód po okolicznych dworach. Ten, nie przeczuwając podstępu, wziął pismo za dobrą monetę i po drodze wstąpił do Łochocimia.

Gdy ekonom dworski zobaczył pismo, długo się zastanawiał, nie wiedząc, co zrobić. Podejrzewał, że musiała zajść jakaś pomyłka. Sto baranów bowiem to była połowa całego stada, jakie posiadał łochocimski dziedzic. Poszedł więc z pismem do swego pana. Ten oczom swoim nie dowierzał:

- Co? Do Górki? Barany? - krzyczał. - To niemożliwe!... Czy ja już całkiem zbaraniałem? To przecież mój podpis! Naprawdę mój podpis! Nikt tego nie podrobi. Jak to się stało? Jak to się stać mogło?

Wyzłościwszy się, ochłoniął nieco i nakazał wezwać przed swe oblicze kwestarza z Górki.

- No, bracie - rzekł do niego. - Muszę już dać te sto baranów, bo tu przecież jest mój podpis. Tylko o jedno proszę. Powiedz mi, jak ten papier dostał się do twoich rąk?

- Dał mi to brat Gaudenty - odpowiedział zakonnik.

- Gaudenty? Mój rodzony brat? A to szelma! Teraz widzę przecież, że to nawet jego pismo! Uciął ostatnio napisaną skargę, a na wolnym miejscu wypisał to polecenie i uszczuplił mój majątek. To będzie nauczka dla mnie, abym już nad podpisem nigdy nie zostawiał wolnego miejsca.

Droga nauka, ale nie pójdzcie w las - dziedzic, mówiąc to, uspakajał się, a po chwili uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Wracaj, braciszku, z owcami do klasztoru i powiedz memu bratu, by dziś wieczorną porą odwiedził mnie i swój rodzinny dom.

Gdy kwestarz wpędzał przez szeroką bramę na podwórze klasztorne sto baranów z Łochocimia, wywołał tym zdumienie nawet samego ojca gwardiana, który wiele rzeczy w życiu widział i - jak się wszystkim dotąd zdawało - nic go już zadziwić nie mogło.

Gaudenty zaś przyjął zaproszenie swego brata i spotkał się z nim w łochocimskim dworze. Bracia przegadali z sobą pół nocy, a o czym rozprawiali, nikt nie wie. Dość że od tego spotkania zmieniły się stosunki między dziedzicem łochocimskim a klasztorem w Górcie. Ustały swary i wzajemne skargi, a kwestarz górecki już nigdy z Łochocimia z pustymi rękoma nie wyjeżdżał.

Sekret drogi z Chlebna do Luchowa



czasach, gdy człek nie w domu, lecz w leśnych ostępach rozrywki szukał, żył w okolicach Łobżenicy szlachcic niezbyt bogaty, ale też nieubogi. Ponieważ legenda nie pozostawiła nam ani jego rodu, ani imienia, dla ułatwienia w opowieści o nim nazwijmy go panem Piotrem.

Szlachcic ów miał jedną wielką pasję - lubił polować. Nie było w tym nic zdrożnego. Myślistwo bowiem stanowiło w tamtych czasach rozrywkę królów, możnych i szlachty; zajęcie prawdziwie rycerskie, bo polowano przeważnie konno, a Polacy znani byli jako znakomici jeźdźcy zarówno w czasie zbyt licznych w historii jednego narodu wojen, jak też w krótkotrwałych okresach pokoju.

Polowanie, zwłaszcza na tzw. grubego zwierza, nie było zajęciem bezpiecznym. Ranne zwierzę nieraz atakowało myśliwego, raniąc lub zabijając konia, na którym siedział. Trzeba więc było walczyć z rozjuszoną bestią wręcz, co wymagało wielkiej sprawności fizycznej, siły i odwagi. Ale właśnie ten moment, połączonego z polowaniem niebezpieczeństwa, dodawał uroku i wyrabiał hart ducha, zręczność oraz przytomność umysłu, zalety, które w wysokim stopniu zdobiły polskie rycerstwo. Polowały także szlachetnie urodzone panie, nie ustępując odwagą i zręcznością mężczyznom.

Początkowo nie używano broni palnej, polując za pomocą łuku, oszczepu, topora i kordelasa. Staropolski półhak bywał jednak bardzo zawodny, ponieważ po jednym strzale stawał się właściwie bezużyteczny. Ponowne nabicie wymagało wiele czasu, a raniony dzik, niedźwiedź czy żubr błyskawicznie atakował myśliwego, zmuszając go do walki wręcz lub... niechlubnej ucieczki na drzewo. Tak uprawiane myślistwo było doskonałą zaprawą do sztuki wojennej i pozwalało zachować długo dobrą kondycję.

Wiedział o tym pan Piotr, szlachcic spod Łobżenicy, toteż z pietyzmem podchodził do myśliwskiej tradycji swego stanu. Pomagały mu w tym jego żona, która często towarzyszyła mężowi w myśliwskich



wyprawach, a także ich dorastająca córka. Natomiast okoliczni chłopie niechętnie patrzyli na myśliwskie wyprawy swego pana. W tamtych czasach lasy tylko dla polskiej szlachty były nieocenionym źródłem rozrywki płynącej z polowania. Szlachcica, biorącego udział w łowach, nazywano myśliwym, natomiast chłop, który czynił to samo, był kłusownikiem, a kłusownictwo srogo karano.

Częste polowania dostarczały ogromną ilość dziczyzny, która trafiała następnie na pański stół, stając się zachwycającym rezultatem kunsztu kuchmistrza dworskiego. Pewnego Bożego Narodzenia na dworze pana Piotra, który gościł właśnie całą okoliczną szlachtę, podano dwańście sztuk jeleni, nadziewanych dziką zwierzyną, cztery dorodne dziki oraz wykwintne zajęcze pasztety.

Mięsa z leśnych zwierząt, choć często gościły na dworze pana Piotra, z rzadka wzbogacały stoły jego chłopów, którzy musieli ciężko pracować na misę mizernej strawy. Mogli jedynie liczyć na pańską łaskawość, jako że niekiedy trafiały im się resztki z dworskich biesiad pana Piotra. Dbały o to głównie jego żona i córka, które pilnowały, by i kmiecie mogli skosztować smakołyków przyrządzanych na dworskie uczty. I za to kochano obie panie powszechnie.

Wszystko zmieniło się po małżeństwie córki, która wyszła za bogatego pana z Pałuk. Wkrótce potem zmarła żona szlachcica. Pan Piotr został sam. Najpierw topił swe smutki w alkoholu, a potem - upomniany przez ojca bernardyna z Górki - w polowaniach. Uciekał z pustego domu i całymi dniami wędrował po lasach, zabijając zwierzęta, które trafił na swej drodze. Nie oszczędzał nawet kotnych łań ani loch z warchlakami. Nie zważał także na porę owych łowów. Jego szlacheckich sąsiadów, a także okolicznych chłopów oburzało, gdy pan Piotr polował w niedzielę i święta.

Pewnej wiosny, a było to w dzień Zmartwychwstania Pańskiego, gdy dzwony były podczas procesji rezurekcyjnej i wierni szli do kościoła, pan Piotr, gorsząc pobożnych kmieci, wyprawił się na łowy. Polował na dzika. Mówiono, że nawet ubił sporego odyńca, ale ten ostatkiem sił rzucił się w stronę myśliwego i spłoszył konia. Pan spadł z siodła, lecz jedną nogą uwiązał w strzemieniu, a koń pędził przez las i ciągnął

za sobą jeźdźca. Tak zginął pan Piotr, a poraniona jego głowa znaczyła w lesie krwawy szlak, na którym potem, dla upamiętnienia tego smutnego wydarzenia i przestrogi dla innych, wycięto wszystkie drzewa.

Po śmierci pana Piotra jego włości stały się częścią tzw. „klucza łobzeńickiego”, a później Ordynacji Chlebno. Lasy wykarczowano, zwierzynę wytrzebiono, ugory zamieniono w pola uprawne, a w miejscu krwawego szlaku powstała droga, która dziś prowadzi z Chlebna do Luchowa. Przyjezdnym, kiedy pytają, dlaczego jest tak kręta i niebezpieczna, miejscowi opowiadają legendę o panu Piotrze - przestroę dla tych, którzy zamieniają pasję w groźny nałóg.

Bluźnierca z Ratajów



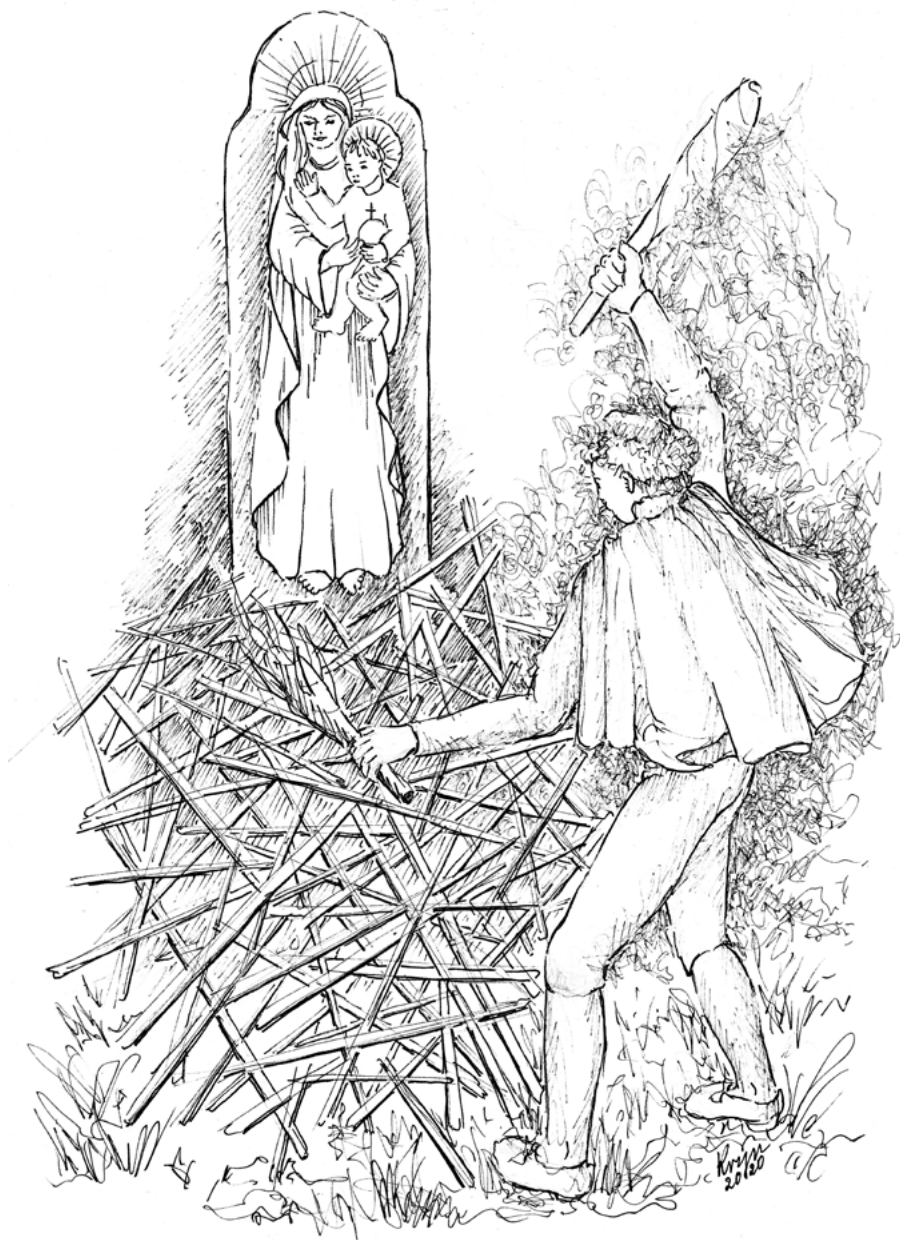
awno, bo około 500 lat temu, za sprawą heretyków Lutra i Kalwina Europę ogarnęła fala sporów religijnych, które w wielu krajach doprowadziły do wojen i przelewu krwi. Ruch ten dotarł także na Krajnę i znalazł wyznawców, zwłaszcza wśród panów i mieszczan głównie niemieckiego pochodzenia, którzy w wątpliwość poddawali świętość Matki Bożej. Tylko prosty lud pozostał wierny Najświętszej Panience, odwiedzając tłumnie miejsce jej objawienia w Górcie nieopodal Łobżenicy.

Żył wtedy w nieodległych od Górki Ratajach pan, który stał się gorącym wyznawcą nowej wiary. Był bardzo bogaty i miał spore wpływy wśród łobżenickich mieszczan oraz okolicznej szlachty. Ponieważ wraz z majątkiem odziedziczył po swym poprzedniku tytuł kolatora kościoła w Górcie, miał też usankcjonowane odwiecznym zwyczajem prawo do wtrącania się w sprawy parafii. Dysponował tzw. prawem prezenty, czyli przedstawiania biskupowi kandydata na wakujące beneficjum przy kościele. Mógł również umieszczać w świątyni tablice nagrobkowe i dysponować ławkami w kościele. Jednak jako luteranin nie zamierzał wspierać parafii poświęconej Matce Boskiej. Wręcz przeciwnie. Korzystając z przywilejów opiekuna tego świętego miejsca, jął prześladować swoich poddanych - katolików, bluźniąc przy tym Najświętszej Panience.

- Nie otrzymała ona żadnych przywilejów od Boga, bo jest jeno matką Jezusa jako człowieka, a nie Matką Bożą. W związku z tym nie należy jej takiej czci oddawać, jak to czynią katolicy, bo godzi to w słowa ewangelii, które uczniowie Jezusa nam ku umacnianiu wiary naszej pozostawili - przekonywał swych najbliższych oraz poddanych.

Ale jego postępowanie nie ograniczało się jedynie do słów. Pod karą wymierzania różg i zakuwania w dyby zabraniał swym chłopom i służbie folwarcznej chodzić na nabożeństwa do Górki, a nawet napadał zbrojnie na pielgrzymów, udających się na odpusty, łupiąc ich przy tym niemiłosiernie.

Gdy i to nie pomogło, a lud nadal pielgrzymował do Góreckiej Pani, kazał zasypać studzienkę kamieniami, by uniemożliwić wiernym czerpanie cudownej wody, która wielu uzdrowiła, pozbawiając ich kalectwa



i wszelakich choróbsk. I to na nic się zdało. Pobożni katolicy dalej wędrowali do Górki, modląc się przed cudownym obrazem Matki Bożej. Rosła więc złość w panu na Ratajach, aż wreszcie przekroczyła wszelkie granice.

Pewnego dnia nakazał młodym fernalom z Ratajów naładować wóz słomy i podwieźć pod kościół górecki. Sam konno podążył za nimi. Uwiązał wierzchowca przed bramą cmentarną, podszedłszy do sług swoich, zarządził, aby słomę wniesli do kościoła przed główny ołtarz. Kiedy to uczynili, kazał im słomę podpalić. Fornale, choć bali się swego pana, który z okrucieństwa słynął, stanowczo mu odmówili. Na nic zdały się przekleństwa i groźby szlachcica, który batem usiłował zmusić ich do posłuszeństwa. Żaden z nich - choć nie wszyscy byli katolikami - podnieść ręki na obraz Najświętszej Panienki się nie poważył. Uciekli wszyscy z kościoła, pozostawiając pana samego przed stertą słomy.

Złość bluźniercy była tak wielka, a nienawiść do Najświętszej Panienki tak do cna przeżarła jego duszę, że sam wziął się do krzesania iskry przy największym snopku. Ogień jednak nie chciał się rozpaść. Czubek snopka zaledwie się tlił. Zniecierpliwiony pan zaczął go rozdmuchiwać, rozniecając w ten sposób płomień. Podniósł słomę w górę, aby podpalić obraz.

I wtedy zdarzyła się rzecz, którą potem wszyscy za cud uznali. Oto ogień, który już obrazu dotykał, nagle pod wpływem podmuchu powietrza skierował się prosto na pana. Jego szaty zaczęły się palić, a twarz otaczały języki ognia. Wydało mu się, że dwie ogromne główne ktoś wbił w jego oczy. Upadł na ziemię, krzycząc z bólu i strachu przed śmiercią. Na ten krzyk przybiegli jego słudzy i ugasili pożogę, a jego samego, na pół żywego wynieśli ze świątyni, wsadzili na wóz i powieźli do medyka w Łobżenicy, aby rany mu opatrzył.

Blisko rok leczył się pan z oparzeń, które mu Matka Boska Górecka za bluźnierstwa zadała. Zabliźniły się rany na twarzy, rękach i nogach, pozostawiając tam szpetne blizny. Natomiast oczy jego nie ujrzały już światła dziennego. Oślepnął na ciele, ale dusza jego przejrzała. Powrócił do wiary swych ojców i jako pokutnik w góreckim kościółku modlił się żarliwie do Najświętszej Panienki, prosząc o wybaczenie za swe bluźnierstwa. Począł też należycie wypełniać powinności kolatora, troszcząc się o zasobność góreckiej parafii i składając Najświętszej Pani bogate wota.

Przygoda Mośka z chimkiem



iewielu dziś pamięta, a trochę szkoda, że dawna Rzeczpospolita była jak matka, która do swego łona przytulała wygnańców z całego świata. Będąc królestwem wielowyznaniowym, tolerowała różnych innowierców, a nawet żydów, którzy w jej granicach znajdowali schronienie. Nie inaczej było na Krajnie. Gdy w Prusach tamtejszy król wypędził synów Izraela, ci osiedlili się w kraju nad Notecią, a przede wszystkim w tutejszych miasteczkach.

Wśród nich znalazła się pewna rodzina żydowska. Jej ojciec szybko zadomowił się w Łobżenicy, wziął w dzierżawę młyn i zaczął się bogacić. Gdy umarł, jego majątek przejął syn, którego Mośkiem nazywano. Ojcowy majątek starał się pomnożyć, ale mu szczęście nie sprzyjało.

Pewnego lata wybuchł pożar, który strawił całą dzielnicę żydowską w Łobżenicy. Wykorzystali to miejscowi rajcy, dla których Izraelici stanowili konkurencję, toteż nie pozwolili na odbudowę spalonych domostw. Wtedy Mosiek wraz ze swymi współziomkami przeniósł się do pobliskiego Wyrzyska, ale tu do dawnego bogactwa wrócić już nie potrafił. Zajął się więc drobnym handlem, wędrując od wsi do wsi, zarabiał na utrzymanie swojej rodziny.



W tym samym czasie chimek (tak na Krajnie nazywano podrzędnego diabła) znalazł się także w nie lada tarapatkach. Oto od dłuższego czasu nie udało mu się złowić żadnej duszyczki i do piekła jej przywieść, za co od samego Lucyfera dostał reprimendę. Wędrował więc po Krajnie, ale że lud żył tu pobożny i na diabelskie kuszenie uodporniony, jego wysiłki nie przynosiły rezultatu. Tak znalazł się na bagnach w okolicach Jeziora Głomskiego, przy trakcie z Wiśniewki do Zakrzewa, licząc, że uda mu się zastawić tu pułapkę na jakiegoś podróżnego.

Los sprawił, że właśnie ową drogą wozem zaprzężonym w dwa konie jechał Mosiek. Nie był w najlepszym humorze. Handlując płótnem,



które kupił od tkaczy w Pile, tym razem niewiele utargował. Wóz pełen był towaru, a w sakiewce znajdowało się ledwie kilka miedziaków.

Zapadła noc, zbliżała się północ. Przy blasku księżyca ujrzał Mosiek skaczącego po bagiennej łączce cielaka. Rozejrzał się uważnie dookoła, lecz nie zauważył nikogo, kto mógłby być jego właścicielem. Ucieszył się bardzo, zsiadł z wozu i pognął za zwierzęciem, które dość łatwo dało się złapać i związać. Nie wiedział, że był to szatański pomysł chimka, który w owo ciele się przeobraził, by zwabić człowieka na bagna i tam utopić, a duszę jego do piekła zanieść.

Tymczasem Mosiek związane ciele na plecy zarzucił i ruszył w kierunku wozu. Zaledwie uszedł kilka kroków, natychmiast zorientował się, że jest na bagnach, bo nogi zaczęły mu zapadać się w czarną, lepłą ciecz. Poczuł, jak ciele, które zrazu lekkim mu się zdało, staje się coraz cięższe. Spodziewał się zrobić dobry interes, tymczasem zapadał się w mokradle. Zaklął po żydowsku. W tym momencie usłyszał przeraźliwy pisk cielaka i diabelski skowyt, który rychło przemienił się w ryk wściekłości. Chimek zorientował się bowiem, że żyda złowił, a dusza synów Izraela niewielką wartość w piekle miała, więc porzucił swą ofiarę i umknął w las.

Mosiek przeląkł się diabelskiego wrzasku, a kiedy spojrzał za siebie, dostrzegł tylko smugę ognia i trzaski piekielne, które cichły powoli w lesie. Cielak zniknął, ale Mosiek nie przestał zapadać się w trzęsawisko. A im gwałtowniej uwolnić się z niego próbował, tym szybciej pogryzał się w bagnie. Przerażony krzyczał co sił i tak głośno, że słychać go było w niedalekim Zakrzewie. Psy we wsi zaczęły ujadać i wyć, przestraszeni ludzie porywali się z łóżek, myśląc, że wybuchł pożar lub banda jakowaś na nich napadła. Niektórzy, słysząc rozpaczliwe wołanie o pomoc, ruszyli do lasu. Co odważniejsi, choć wszystko to działo się o północy, w czasie - jak wtedy wierzano - diabelskiej przemocy, widząc człowieka tonącego w bagnie, zaczęli go stamtąd wyciągać.

Żyd, półżywy ze strachu i zimna, czuł jeszcze na plecach ciężar dziwnego cielaka, a w uszach brzmiał mu przerażający skowyt. W powietrzu czuć było zapach spalenizny, po czym ci, którzy Mośka ratowali, poznali, że z diabłem miał przygodę.

Mosiek przenocował we wsi, bo chłopci, choć synów Izraela nie lubili, przecież zgodnie z obowiązującą wówczas w Polsce zasadą: „żyj i daj innym żyć”, nieśli pomoc każdemu, kto jej potrzebował. Następnego dnia w Łobżenicy sprzedał swój towar i z trzosem pełnym monet wrócił do domu w Wyrzysku.

Wieść o jego przygodzie z chimkiem wnet rozeszła się po okolicy, a on sam ze strachem omijał tę szatańską dolinę nad Jeziorem Głomskim, by coś podobnego go nie spotkało, choć jako żyd w diabła nie wierzył.

O wojewodzinie, co Najświętszej Panience skąpiła



to nadszedł taki dzień straszny, gdy szwedzki potop bez przeszkód przelał się przez granicę Rzeczypospolitej i popłynął falą w kierunku Wałcza i dalej na Krajnę. Na południe od Piły szwedzka straż przednia natknęła się na wysunięty oddział jazdy wojewody poznańskiego Andrzeja Karola Grudzińskiego, którego majątek znaczną część Krajny wówczas obejmował. Po krótkiej potyczce Polacy umknęli do Ujścia, a Szwedzi zawrócili i weszli do Piły, której nikt nie bronił.

Miasto przeżyło swój sądny dzień, a jego mieszkańcy bodaj jako pierwsi w tej wojnie mieli doświadczyć cierpień, rabunku i zniszczeń, znaczących trasę przemarszu szwedzkich wojsk. W ostatniej chwili pilscy mieszczenie zdolali wyprowadzić i ukryć w podmiejskich, zabagnionych lasach większość trzód – a Piła ówczesna, choć miasto, hodowlą stała – i ta część ich dobytku ocalała. Natomiast w granicach miasta działy się dantejskie sceny, kiedy to rozbestwione i bezkarne żołdactwo rabowało, gwałciło i zabijało, ze szczególną zawziętością „polując” na Żydów.

Całą nadzieję pokładała krajeńska ludność w pospolitym ruszeniu, które pod Ujściem się zebrało pod dowództwem Andrzeja Grudzińskiego i innych możliwych panów wielkopolskich. Tymczasem zamiast armię heretyków powstrzymać, wraz z wielkopolską szlachtą do zdrajców przystąpił i haniebny układ podpisał, bez walki oddając Szwedom tę najbogatszą wówczas dzielnicę Rzeczypospolitej. Rychło jednak zorientował się, jak wielkiej dopuścił się zbrodni, więc zmieniając front, do walki z najeźdźcą się włączył. Odczuli to boleśnie mieszkańcy Krajny, bo włości wojewody złupione zostały. Szczególnie ucierpiały kościoły, które Szwedzi spalili.

Po zwycięstwie nad Szwedami Grudziński, ciągle odczuwający wyrzuty sumienia i chcąc ostatecznie miano zdrajcy z siebie i swoich dzieci zdjąć, przystąpił do budowy dwóch kościołów poświęconych Mat-



ce Boskiej. Pierwszy z nich miał stanąć w Złotowie, a drugi w Górcie koło Łobżenicy. Były to przedsięwzięcia tak gigantyczne i kosztowne, że każdym z nich do dziś lud boży legendy opowiada.



Świątynia złotowska była ogromna, bogato zdobiona, z pięcioma ołtarzami i licznymi obrazami, wśród których „Obraz Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny” mistrza Petera Hacka zachwycał swym artystycznym kunsztem. Zjeżdżali się do prac przy budowie rzemieślnicy nie tylko z całej Rzeczypospolitej, ale i z sąsiednich krajów. Świątynia rosła i piękniała z dnia na dzień, ale kiesa pana Andrzeja topniała, a miasto, pozbawione jego pomocy, biedniało.

A.D. 1669, w przeddzień święta Wniebowzięcia, podczas którego kościół miał być wyświęcony, roboty zostały ukończone. Pan Andrzej, wysupławszy z kieszeni ostatnie dukaty, opłacił rzemieślników i teraz podziwiał ich i swoje dzieło. Dumny z tego, czego dokonał, chciał tą radością podzielić się ze swą żoną. Posłał więc sługę z prośbą, by natychmiast do świątyni przybyła.

Wojewodzina Marianna ze Święcickich Grudzińska była nabożną niewiastą, ale w budowę świątyni nie tak bardzo jak jej mąż zaangażowaną. Jej uwagę zaprzętał bardziej los poddanych, w okrutnej biedzie żyjących po szwedzkim najeździe. Gdy przybył do niej sługa z wieścią od męża, rozmawiała właśnie z miejskimi rajcami, którzy pod nieobecność pana Andrzeja do niej przyszli z prośbą uniżoną o uchylenie opłat i podatków. Miasto spalone przez Szwedów z trudnością dźwigało się do normalności. Pani Marianna nieraz z własnej kieszy wspomagała je, a i teraz obiecywała wstawiennictwo u swojego męża.

Pożegnawszy się z rajcami, z głową zaprzątą ich troskami, udała się do kościoła, by dzieło swojego męża podziwiać. Stał pan Andrzej przed głównym wejściem i uśmiechał się, bo radość i duma wypełniała jego serce. Wziął żonę za rękę i powiodł ją do świątyni. Na znak wojewody zabłysło światło, zagrały barwami tęczy cudne witraże, błysnęło złoto kolumn i świeczników. Przepych i bogactwo oszołomiły panią Mariannę.

- Boże! – pomyślała. - Tyle dobra, tyle kosztu. Przecież za to można by Złotów odbudować, ludzi nakarmić i handel ożywić tak, by miasto na nogi wreszcie stanęło.

Ledwo myśl ta przez głowę niewiasty przemknęła, stopa jej mała, w ciżemkę odziana, zagłębiła się w kamień na progu świątyni leżący. Zorientowała się natychmiast pani Marianna, że myśl owa bluźnierstwem była i nie spodobała się Najświętszej Panience, padła więc na kolana i o przebaczenie prosić zaczęła.

- Panno Najświętsza, wybac mi moją myśl grzeszną! Tyś ważniejsza od wszystkiego. Twoja łaska i moc, Twoje wstawiennictwo u Syna Bożego pomoże mieszkańcom złotowskim ich problemy rozwiązać.



Kilka lat później równie troskliwie zabiegali Grudzińscy o odbudowę świątyni w Górcie. Pewnego dnia przyjechali tam, by postępy robót ocenić. Najpierw jednak oboje ukłękli przed studzienką, gdzie wisiał cudowny wizerunek Matki Najświętszej. Pomodlili się serdecznie za swego syna Stefana, który wyruszał z hetmanem Sobieskim na wojnę turecką pod Chocim, po czym wstali i uszli kilkadziesiąt kroków ku wzgórzu, gdzie rozlegał się gwar pracowników, zmieszany ze stukiem dźwigów i kamieni.

Murarze podciągali już mury pod sklepienie w prezbiterium. Główny budowniczy, specjalnie sprowadzony z Poznania przez wojewodę, ujrzawszy go, natychmiast przyszedł, aby zdać sprawozdanie z przebiegu pracy. Powiedział również, że trzeba koniecznie dowieźć cegieł i wapna, bo materiał nagromadzony wystarczy tylko na wykończenie prezbiterium, które samo mogłoby nawet stanowić kościółek, trzy razy większy od rotundy, zwanej studzienką. Po tym sprawozdaniu odszedł, aby dopilnować wykonania pierwszego łuku w sklepieniu.

Zasepiła się twarz wojewodziny.

- Mężu! - odezwała się do Andrzeja. - Skończmy z tą budową, bo umniejszymy majątek i skarb będzie pusty, gdy syn nasz jedyny wróci z wojny. Uszczuplamy zbytnio naszą fortunę.

W tym momencie spojrzała w górę i na jej twarz spadła odrobina świeżego wapna, przyklejając się do policzka. Wapno z policzka

starła, ale pozostała widoczna plama, której usunąć już się nie dało.

Wieczorem, gdy Grudzińscy wrócili na zamek do Złotowa, przekonali się, że od chwili rozpoczęcia budowy kościoła góreckiego złota w skarbcu wcale nie ubywało. Wydali więc natychmiast rozporządzenie, aby zwieziono materiał potrzebny do dalszej budowy góreckiej świątyni.

Wojewodzina zaś, żałując za swój postępek, była odtąd bardzo gorliwą czcicielką Maryi i zapalała ku niej taką miłością, jak wtedy, gdy ukończono budowę kościoła złotowskiego.

Opowieść o cudownej piecie ze Skrzatusza



dawnych czasach kronikarze, najczęściej księży, spisywali historię swych parafii, posługując się dokumentami, których było niewiele, bo drewniane kościoły płonęły jak zapalki, oraz opowieściami zasłyszczanymi od ludu, przekazywanymi z pokolenia na pokolenie i ubarwianymi przez bazarzy. W kronikach, które przetrwały do dziś, wydarzenia prawdziwe przeplatały się z legendą i obecnie już nie wiadomo, co tak naprawdę się wydarzyło.

W ten właśnie sposób dochowała się do naszych czasów opowieść o cudownej piecie, która do dziś zdobi ołtarz główny sanktuarium maryjnego w Skrzatuszu - architektonicznej perły powiatu pilskiego.



Dawno temu, gdy na porządku dziennym były profanacje, rabowanie kościołów i antykatolickie rozruchy w Wielkopolsce, zły los nie ominął też świątyni w Mielęcinie koło Tuczna. A zdarzyło się to ósmego dnia września Roku Pańskiego 1575. Trwał właśnie odpust w Mielęcinie. Zgromadził nie tylko miejscowych katolików, ale także liczną grupę heretyków z całej okolicy, którzy od pewnego czasu - ponieważ byli w większości - domagali się zamiany miejscowego kościoła na zbór luterański. Pyskówka, sprowokowana przez pastora z Tuczna, rychło przeistoczyła się w bijatykę. Katolicy, których było zaledwie kilkunastu, musieli salwować się ucieczką, natomiast zwycięski tłum luteranów wdarł się do kościoła, zrabował znajdujące się w nim wota, a przedmioty kultu maryjnego zniszczył i wrzucił do jeziora.

Była wśród nich figurka wykonana z drzewa lipowego, przedstawiająca Matkę Boską, trzymającą na kolanach martwe ciało Chrystusa. Mimo obciążenia kamieniami polichromowana pieta wypłynęła na powierzchnię wody i w jednym, i w drugim, i w kolejnym jeziorze. Nie powiodła się też próba jej spalenia. Figurka nie pozwalała się zniszczyć, co w końcu zniechęciło łupieżców.



Przypadkowym świadkiem tego wydarzenia był pewien garncarz z Piły - katolik, który nie mógł patrzeć na bezczeszczenie piety. Pod pretekstem szukania zabawki dla swoich dzieci zaproponował odkupienie jej od luteranów. Zgodzili się. Pazerność przeważała nad religijnym zacietrzewieniem.

W drodze do domu garncarz zatrzymał się na nocleg w Skrzatuszu. Podczas kolacji pokazał gospodarzom i kilku jeszcze mieszkańcom wsi figurkę, opowiadając historię jej znieważenia. Opowieść ta wzruszyła do łez Katarzynę Kadrzycką, mieszkankę Skrzatusza, która zaczęła nalegać, aby ofiarował jej piętę. Poruszony łzami, garncarz uległ i za niewielką opłatą pozostawił ją w domowym ołtarzyku swoich gospodarzy.

Cudowna rzeźba pozostała tu jednak tylko parę dni, bowiem w nocy „rozjaśniona wielką jasnością” we śnie upominała się u Katarzyny Kadrzyckiej o godniejsze dla siebie miejsce. Niewiasta następnego dnia opowiedziała o swym widzeniu kapłanowi o imieniu Benedykt, który uznał je za cudowny znak i dokonał uroczystego wprowadzenia figurki do powstałego zaledwie trzy lata wcześniej drewnianego kościołka. Jako najszlachetniejszy klejnot umieścił ją w ołtarzu głównym.



Mijały lata. Pieta, początkowo czczona gorliwie, później trochę puszczona w niepamięć, sama upomniwała się o należne jej miejsce. Prawie pół wieku później, w nocy z 13 na 14 listopada Roku Pańskiego 1621, doszło do wydarzenia, które wzmogło kult „Pani Skrzatuskiej”. Tej nocy mieszkańców wsi zaalarmowało światło, bijące od strony kościoła. Sądząc, że ich świątynia płonie, co często zdarzało się w czasach, gdy w Polsce budowano głównie drewniane kościoły, z wiadrami pełnymi wody rzucili się na ratunek. Gdy wbiegli do kościoła, okazało się, że to nie pożar, lecz jasne światło bijące z figurki Matki Bożej Bolesnej. Zdziwieni ukłękli, wznosząc modły i śpiewając nabożne pieśni, sławiące Najświętszą Panienkę. Tak trwali do świtu.

Wieść o tym wydarzeniu rychło obiegła nie tylko najbliższą okolicę, ale cały kraj, a wraz z nią rosła popularność skrzatuskiej piety. Pomnażała się też liczba pielgrzymek i cudów, skrzętnie zarejestrowanych

przez kronikarza. Dziwiąc się, zapisał też, że w tak małej miejscowości w czasie odpustu udzielono aż trzy tysiące komunii.

Historię parafii pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP w Skrzatuszu, nierozzerwalnie związanej z losami cudownej figurki, spisał w 1777 roku ksiądz Andrzej Delert, wikariusz parafialny. Udało mu się także zarejestrować wszystkie cuda, które dokonały się za przyczyną „Pani Skrzatuskiej”, a zatwierdzone zostały przez władzę duchowną.



Dzieje cudownej figurki, która dzisiaj przyciąga jak magnes pielgrzymów do Skrzatusza, są jak scenariusz filmowy. Wątki sensacyjne i legendarne wydają się jednak nie mniej interesujące niż świadectwo wiary mieszkających tu pokoleń.

Matka Boska Bolesna, trzymająca w ramionach ciało syna, od stuleci słucha modlitw błagających o pomoc. I pomaga.

O zatopionym zamczysku nad Notecią



awno temu, ale nie tak dawno, by nie pamiętali o tym miejscu, w okolicach dzisiejszej wsi Osiek znajdowało się zamczysko. Umiejscowione na niewielkim wzgórzu, otoczonym wodą, strzegło przejścia przez Notecę, kędy przed wiekami na piastowskie ziemie napadali Pomorzanie.

Pan owej posiadłości był podłą kreaturą, a do tego niedowiarakiem, który drwił sobie z głęboko wierzących sąsiadów i łupił ich niemiłosiernie. Otoczył się zgają podobnych do siebie złoczyńców i terroryzował całą okolicę. Upatrzył sobie zwłaszcza kupców, którzy traktem z Poznania przez Gołańcz i Łobżenicę aż hen do Gdańska wozili sukno i zboże wszelakie. W Polsce było tego towaru w bród. Handlowali więc z kupcami z różnych stron świata, a złoto i talary, które wracając ze sobą wieźli, wpadały w chciwe ręce niegodziwego pana i jego rzezimieszków.

Nie szczędził też okrutnik miejscowych kmieci, ogałając ich z wszelkiego dobra. Nawet na kościoły ośmiewał się napadać. Kto mógł więc, chronił się w pobliskich miastach, a kupcy omijali bród pod Osiekiem szerokim łukiem. Okolica wyludniała się. Pan niespecjalnie się tym przejmował. Wyprawiał się coraz dalej i wraz z łupami sprowadzać począł do swego kasztelu dziewczki, które traktował jak niewolnice, wyczyniając z nimi nieprzystojne harce. W domostwie jego od rana do wieczora, a czasem i przez noc całą trwały uczty i swawole, a pan czuł się coraz bardziej bezkarny, bo w opustoszałej okolicy nikogo już nie było, kto by jego nieczne praktyki mógł ukrócić.

Mijały dni i miesiące. Latem pojawił się w Osieku ksiądz, człek już stary, schorowany, ale który ludzkie charaktery do cna przeniknąć potrafił. Wiedzę swą i doświadczenie zdobył na licznych misjach w zamorskich krajach. Ze zgrozą patrzył na występki właściciela zamczyska, ale milczał. Jako kapłan głęboko wierzył w miłosierdzie boskie, więc liczył na opamiętanie grzesznika. Do czasu.

Wraz z podłym niegodziwcem mieszkała w owym zamczysku nad Notecią niewiasta w podeszłym już wieku, kobieta bogobojna i uczciwa,



która była daleką krewną owego pana i ubolewała bardzo nad jego bezecnym charakterem.

Pewnego razu śmiertelnie zachorowała i krewniak, chcąc nie chcąc, musiał wezwać starego kapłana, którego za jego pobożność serdecznie nienawidził. Podróż księdza z wiatykiem trwała jednak tak długo, że nim przedarł się przez chaszcze i przepłynął łodzią wodę otaczającą zamek, owa niewiasta zmarła.

Słudzy pana za jego przyzwoleniem postanowili ze spóźniającego się księdza okrutnie zadrwić. Schowali ciało martwej niewiasty, a do jej łóża wrzucili zdechłego psa i przykryli piernatami. Ksiądz, nieświadom tej zamiany, rozpoczął modły za duszę zmarłej kobiety. Dopiero po chwili zorientował się w okrutnym podstępie pana i jego zgrai. Gdy słowami wyraził swe oburzenie, zaczęli wyśmiewać się z księdza i jego wiary.

Oburzony kapłan wybiegł z zamczyska i wszedł do łodzi, sterowanej przez chłopca z pobliskiej wsi. Gdy wypłynęli na środek wody, kazał wiosłującemu odwrócić wzrok od zamku, sam zaś stanąwszy w łodzi, wykonał tajemny znak i wypowiedział zakłęcie w jakimś sobie tylko znanym języku. Gdy wyrzekł ostatnie słowo, rozpętała się burza, jakiej najstarsi nie pamiętali. Wzgórze się rozstało, a zamek zapadł się pod ziemię. Wraz z nim zniknęli z tego świata podły pan i jego słudzy. Natomiast ślady owego zamczyska widoczne są dziś przy szosie między Osiekiem a Smogulcem, choć trudno je z drogi dostrzec.

Proboszcz z Osieka, który przed laty opowiedział mi ową legendę, przyznał równocześnie, że historycy mają w tej kwestii nieco inne zdanie. Łączą budowę grodziszcza z księciem Przemysłem, który kazał je tu wznieść, by strzegło granic wielkopolskich włości przed Pomorzanami.

Baśń o duchach pokutujących w młynie



Yli sobie kiedyś na Krajnie ojciec i matka, którzy mieli jedynego syna, Janka. Nędza u nich na stałe zadomowiła się i doskwierała im okrutnie. Jankowi ciężko było patrzeć na los rodziców, postanowił więc pójść w świat i znaleźć miejsce, gdzie Nędza nie mieszka. Pod wieczór zmęczony i głodny zaszedł do karczmy w niewielkiej wsi. Dobrzy tam ludzie mieszkali, bo strudzonego chłopca nakarmili, o zapłatę nie pytając.

Podziękował Janek za jadło i napitek i spytał pokornie, gdzie mógłby znaleźć miejsce, by leć po uciążliwej wędrówce.

- Jest tu miejsce, gdzie odpocząć możesz - zaczął z wahaniem w głosie karczmarz. - Ale czy spokojne ono? Oto młyn tuż za wsią stoi, opuszczony i zaniedbany. Obchodzą go ludzie z daleka, bo nocą dziwne się tam dzieją rzeczy. Poruszają się czasem młyńskie koła, zgrzytają łańcuchy, śmiechy straszne, potępiénce słychać i ogień błyska. Próbowali kiedyś śmiałkowie do młyna wejść i skarbu szukać po bogatym młynarzu, co ludzi oszukiwał i bogacił się na ich krzywdzie, ale uciekali stamtąd, zębami szcękając ze strachu.

Janka nie przeraziły te ostrzeżenia. Poszedł do młyna, zasuwał żelazną odciągnął i próg przestąpił. Z boku znajdowały się drzwi, które prowadziły do dawnej izby młynarza. Wszedł do niej i zdumiał się, bo pełna była bogatych sprzętów z zegarem wielkim, co ze ściany patrzył na wchodzącego, tykając głośno. Wszystko przykryte było kurzem z wyjątkiem stołu, który wyglądał, jakby go ktoś często używał. Zmęczony podróżą Janek przysiadł na ławie, pacierze odmówił, po czym zasnął.

Obudził go zegar, który głośno wybił północ. Zgrzytnęły zasuw, jęknęło coś przeciągle, otworzyły się drzwi i do izby weszło trzech mężczyzn ubranych na czarno. Ledwo na drżącego ze strachu chłopca spojrzeli, siedli do stołu i w karty grać zaczęli. Z brzękiem padały na stół talary złote, rosła ich spora kupka, przesuwana z miejsca na miejsce. Aż jeden z czarnych, przegrawszy wszystko, co miał w kieszeniach, na Janka skinął, by ten do stołu podszedł. Przerażony chłopak podniósł rękę do czoła, przeżegnał się i Maryi pomocy począł wzywać. Zerwali się czarni jak oparzeni, świeca zgasła, w górze rozległ się



przerażający śmiech. Błysnęło i Janek dojrzał nagle, że przy stole pusto już było, a drzwi zamknęły się z hukiem.



Zbudził się Janek, gdy słońce wysoko na niebie stało. Na stole ujrzał stosik talarów, zostawionych po nocnej wizycie. Wziął jeden z nich i poszedł do karczmy, o posiłek prosząc, a gdy zeszli się inni, opowiedział o nocnych zdarzeniach. Dziwili się też wszyscy i talar z ciekawością oglądali. Gdy wieczór nadszedł, znów Janek, gospodarzy pożegnawszy, do młyna poszedł. Chciało też dwóch odważniejszych z nim iść razem, ale doszli tylko do połowy drogi i... zawrócili do wsi. Nie stało im odwagi.

Z dwunastym uderzeniem zegara drzwi zamknięte na zasuwę znów same się otwarły i tym razem sześciu czarno odzianych stół w milczeniu obsiadło i grać poczęło. I znów ten, co przegrał wszystko, na Janka skinął, a gdy chłopiec rękę do góry podnosił, by się przeżegnać, schwytał go za nią i przyciągnął do stołu. Tym razem dopiero głośna modlitwa do Najświętszej Panienki uratowała Janka.

Trzeciej nocy sytuacja się powtórzyła. O godzinie dwunastej do komnaty młynarza weszła gromada - czarna i milcząca. Dwunastu ich było. Wśród grających wyróżniał się długą, siwą brodą starzec, do którego wszyscy z szacunkiem się odnosili. Gdy wszystkie talary znalazły się na środku stołu, oczy czarnej zgrai na Janku spoczęły. Padł chłopiec na kolana i tak długo modlił się, aż wszyscy grający zniknęli, z wyjątkiem owego starca z siwą brodą.

- Dzięki ci, chłopcze! - rzekł siwobrody do Janka. - Imieniem Maryi wyzwoliłeś mnie i czeladź moją od kary, którą cierpieć mieliśmy długie lata, strasząc, kłócąc się i gryząc między sobą. Chciwość, za życia okazywaną ludziom, w dwójnásób przeżywając. Dziś koniec męki naszej. A na ciebie nagroda czeka. Oto znajdziesz w piwnicy tu ukrytej trzy beczki pieniędzy. Rozdzielisz je uczciwie między rodzinę moją, co w nędzy i niesławie została, drugą rozdasz ubogim, których za życia ograbiłem, trzecią zaś beczkę dla siebie zachowasz.

I zniknął starzec po tych słowach. Janek zaś, wypełniwszy wolę ducha, wrócił do swojej wioski i na zawsze wypędził z niej Nędzę, która jego rodzinę i sąsiadów prześladowała.

Czarcie ślady nad Notecią



awno temu, gdy dolina Noteci otoczona była puszczą, a pola uprawne tylko gdzieniegdzie ją naruszały, na wzgórzu, nad rzeką stał zamek nieduży, ale chędogi - siedziba bogatego szlachcica, właściciela kilku folwarków i okolicznych lasów. Pan ów słynął z nieprawdopodobnego wręcz sknerstwa. Był on do tego stopnia skąpy, że gdy wyjeżdżał z zamku, sam powoził. Miejscowi podejrzewali, że skrycie zakopuje w lesie swój majątek.

Pewnego dnia, podczas jednej z samotnych wypraw do lasu, szlachcic ów zapędził się tak daleko, że zablądził. Gdy bezradny stał na rozstaju leśnych duktów, nie wiadomo skąd pojawiła się przed nim szykownie ubrana postać. Jej diabelskie pochodzenie zdradzały jedynie, wystające spod nienagannie skrojonych spodni, końskie kopyta, którymi przybysz stąpał po ziemi.

- Zgubiłeś się, waszmość - zagadnął szlachcica. - A ja ci w odnalezieniu drogi do zamku mogę pomóc. Ale nie za darmo.

- Nie mam pieniędzy - warknął skąpiec. - Sam trafię.

- Nie trafisz! A mnie nie o pieniądze chodzi, jeno o duszę. I to nie twoją, bo prędzej czy później i tak będzie nasza, tylko o duszę twojego syna.

Szlachcic wiedział, że sam do domu nie trafi, ale mimo to z przyzwyczajenia zaczął się targować. Ustąpił, gdy diabeł dorzucił obietnicę pomnożenia majątku. Wtedy, skuszony perspektywą bogactwa, podpisał krwią cyrograf.

Mijały lata, dziedzic był coraz bogatszy, lecz nigdy bliskim, nawet dorastającemu synowi, nie wspomniał o swych konszachtach z diabłem. Jedynie służba zamkowa coś podejrzewała, albowiem co pewien czas, po zapadnięciu zmroku przyjeżdżał do zamku tajemniczy jego-ność i przynosił dziedzicowi worek z dukatami.

Życie ludzkie ma jednak swą granicę, stąd i do chciwego szlachcica zastukała w końcu kostucha. Leżąc na łożu śmierci, wyznał całą prawdę synowi.



Spadkobierca szlachcica wyrósł na młodzieńca uczciwego i bogobojnego, a przy tym hojnego. Po ojcu odziedziczył jedynie kupiecki



spryt i talent do robienia interesów. Mimo to kontrakt z czartem przeraził go tak bardzo, że postanowił opuścić stary zamek - miejsce diabelskich spotkań i wybudował nowy także nad Notecią, ale kilkanaście mil na wschód, na Krajnie.

Nic to jednak nie pomogło. Pewnej nocy przybył do nowej siedziby diabeł i zażądał duszy właściciela. Pokazał przy tym ojcowski cyrograf. - Handlować można tylko własną, a nie cudzą duszą - oburzył się młody dziedzic.

Zaczęli się targować, a że młodzieniec miał w tym znaczną wprawę, czart zobowiązał się przed zabraniem duszy wykonać jedno z trzech żądań swojej ofiary.

- Pierwszym moim życzeniem jest - rzekł młody dziedzic - byś podczas jednej nocy rozebrał stare zamczysko i, nie uszkadzając budulca, złożył go obok nowego. Tam, gdzie stał stary zamek, wykopać masz olbrzymią nieckę, z której po doprowadzeniu wody z Noteci ma powstać jezioro.

Diabeł chyżo zabrał się do pracy. Zdołał rozebrać mury zamku, składając budulec w wyznaczonym przez dziedzica miejscu. Wykopał, strasznie się przy tym spiesząc, olbrzymi dół. Wody nie zdołał jednak doprowadzić, zaskoczył go bowiem świt.

Drugie zadanie polegało na wykarczowaniu wszystkich drzew z pobliskiej puszczy. Diabeł ochoczo przystąpił do wyrębu. Z jego czoła lał się pot, a on się spieszył, by zdążyć przed wschodem słońca. Z minuty na minutę nieprzebyta puszcza zamieniała się w pustkowie, jednak i tym razem świt zaskoczył go przed ukończeniem pracy. Zbyt słaba okazała się czarcia moc.

Trzecie zadanie wiązało się z pierwszym, bowiem dziedzic nakazał czartowi dokończyć swe wcześniejsze życzenie. Wykopany uprzednio dół miał on podczas nocy napełnić wodą, doprowadzając ją kanałem z pobliskiej Noteci. Po utworzeniu jeziora kanał wodny miał zostać zasypyany. By pokrzyżować pracę diabłu, młody dziedzic nakazał służbie tego dnia nie poić i nie karmić inwentarza, aby głodne, spragnione koguty, zwiastujące nastanie dnia, zapiały jak najwcześniej. W ten sposób czart miał mniej czasu na wykonanie tego zadania.

Diabeł, zaniepokojony faktem, że dusza młodzieńca wymyka mu się z rąk, tym razem dokładnie rozplanował pracę. Do północy zbudował groblę, następne dwie godziny poświęcił na kopanie kanału. Popłynęła woda z Noteci. Diabeł był bliski ukończenia trzeciego zadania, trwała przecież jeszcze noc. Nagle rozległ się niespodziewanie głos koguta, a za nim pianie innych. Fortel młodego dziedzica uratował jego duszę przed niechybnym potępieniem. Rankiem na stole w największej komnacie zamku znalazł młodzieniec złowieszczy cyrograf. Zrozumiał, że diabeł odstąpił od umowy z jego ojcem.

Od tego wydarzenia minęły lata, a nawet wieki. Pozostały po nim jedynie ślady czarciej pracy nad Notecią. Puszczą w tym miejscu trudno by szukać, rozciągają się tu dziś pola i łąki, a o czartowskich pracach nad rzeką świadczą okoliczne bagna i pozostałości po grobli.

Ale ludzie o nim nie zapomnieli głównie dlatego, że nocami niedaleko wsi Zofiowo nieopodal Czarnkowa spotkać można, choć ostatnio coraz rzadziej, postać kopiącą ziemię, która jako żywo przypomina owego eleganckiego diabła z końskimi kopytami zamiast stóp. Czart ten znika wraz z pierwszym pianiem koguta.

Zatopione dzwony z Rudnej



Przed wielu laty we wsi Rudna w okolicach Wysokiej żyło szczęśliwe, choć niebogate młode małżeństwo z córką. Mąż pracował w lesie przy wyrębie, żona wychowywała malutkie dziecko, równocześnie zarabiając szcieniem.

Pewnego dnia zdarzyło się nieszczęście. Mąż, przywalony zrąbanym drzewem, zmarł na miejscu wypadku. Jego żona, choć młoda jeszcze i urodziwa, nie szukała nikogo, kto by się nią i dzieckiem zaopiekował. Biedna była i poza nędzną chałupą w posagu wnieść niczego nie mogła, a i w sercu, wypełnionym miłością do zmarłego męża, miejsca dla innego mężczyzny nie miała. Pozostała więc sama, wychowując maleńką córeczkę i zajmując się do wszelkich prac, które tylko we wsi mogła znaleźć. Mało tego było, toteż bieda oraz głód do wdowiej chałupy coraz częściej zaczęły zaglądać.

Tak minęło kilka lat. Córka z niemowlęcia wyrosła na siedmioletnią dziewczeczkę i musiała pójść do pracy, by matkę wspomóc. Ubogo im się żyło, mimo że różnych zajęć obie się imały. Pomagały gospodarzom ze wsi w żniwach i wykopkach, a kiedy tej roboty nie stało, pasła dziewczeczka świnie.



Niedaleko wdowiej chałupy znajdował się niewielki stawek, porośnięty gęsto łożyną i innymi krzewami. Ze wszystkich jego stron trzcina broniła dojścia do tafli wody, czyniąc staw trudno dostępnym i przez to tajemniczym. Starzy ludzie bajali, że przed wiekami stała w tym właśnie miejscu dzwonnica, ale dlaczego zapadła się w głąb ziemi i woda wszelki ślad po niej przykryła, nikt nie wiedział. Jedni powiadali, że grzechy dzwonnika to sprawiły. Inni, że czary złej babki, której we śnie dzwony przeszkadzały. W jednym wszakże wszyscy byli zgodni. Czasem we wsi nocną porą słychać było głos dzwonów i domyślano się, że ze stawu pochodzić muszą.

Pewnego letniego dnia córka wdowy pasła świnie właśnie niedaleko owego stawu. Siedziała na jego brzegu w miejscu, gdzie ktoś wyciął



łozinę i trzciny, by młodzież latem kąpieł w wodzie mogła zażywać. Była sama, głodna i pogrążona w smutku. Spoglądała na zwierzęta oddane jej w opiekę, a nie było wśród nich ani jednej własnej świnki. Smutno więc zanuciła piosenkę o tęsknocie i śmierci, którą często od matki słyszała i odwróciła wzrok ku wodzie.

Wtedy zauważyła, że w środku stawu zaczęło błyszczeć mocniej niż fale mieniące się w blasku słońca. Nagle z głębi wynurzyło się coś, co w pierwszej chwili zdało się jej stworem jakimś wielkim i połyskliwym, po czym poczęło zbliżać się ku niej. Krzyknęła przestraszona, ale uciec nie mogła, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Po chwili jej strach zamienił się najpierw w zdumienie, a potem w zachwyt. Oto bowiem z głębin wynurzyły się trzy dzwony i głosem słodkim prosiły ją, by pomogła im wydostać się na brzeg. Weszła dziewczeczka do wody, złapała największy z dzwonów, ale daremnie wyęczała wszystkie siły. Był tak ciężki, że nie zdołała go nawet kawałek do brzegu przyciągnąć. Chwyciła tedy dzwon mniejszy. Kiedy spróbowała go na skraj stawu wyciągnąć, nagle wszystkie zanurzyły się i zniknęły równie niespodziewanie, jak się pokazały.

Poruszona tym zdarzeniem, zostawiła dziewczeczka trzódkę nad wodą i pobiegła do wsi. Każdemu, kogo spotkała, opowiadała z przejęciem o dzwonach, które się jej ukazały. Początkowo nikt wierzyć jej nie chciał, a byli i tacy, co zbesztali ją za pozostawienie świnek samopas. Dopiero wieczorem, gdy z matką poszła do starego Wojciecha, który wiele po świecie wędrował i wiele wiedział, a nawet czytać i pisać potrafił, wszyscy tajemnicę dzwonów poznali.

- Ludziska! Niedowiarki jedne! Toż to córka wdowy obaczyła dzwony z zatopionej dzwonnicy - mówił zebranym wokół niego kmieciom.

- Ukazują się one co sto lat i proszą o wyciągnięcie. Wolą Boga wyznaczone jest, który dzwon pierwszy wyciągać trzeba. Czasem jest to najmniejszy, czasem największy. Ten, kto dzwony zaczarowane uratuje z topieli, ma być bogaty do końca dni swoich. Widać źle dziewczeczka wybrała. Nie był też jeszcze czas ich i musiały odejść w głębinę, by pilnować duchów, co w wodzie mieszkają.

Rozeszli się tedy smutni wszyscy do domów, a zwłaszcza córka wdowy, której wieczorem głód najbardziej doskwierał.

Los jednak odmienił jej życie. Gdy ukończyła lat szesnaście, a uroda jej rozkwitła jak najpiękniejszy kwiat, zakochała się z wzajemnością w chłopcu, który wprawdzie królewiczem nie był, ale pochodził z zasobnego gospodarstwa. Po ślubie młodzi wzięli do siebie matkę i nigdy już biedy nie zaznali. Utracone wraz z dzwonami szczęście - powróciło.

Od tamtego czasu wielu zagląda na brzeg stawu w Rudnej, ale nikomu dotąd dzwony się nie pokazały.

Tajemnice góreckiego objawienia



awno temu Noteć dzieliła Lechitów na dwa odmienne światy. Na północ od rzeki Krajnę zamieszkiwali Pomorcy, lud mową i obyczajami nieco różniący się od osiadłych na południe od rzeki Polan. Gdy w kraju Piastów od stu lat rozwijało się chrześcijaństwo, na północy ludzie oddawali cześć bogom pogańskim, zwłaszcza zaś Swarożycowi, którego kult był tu najbardziej popularny. Kiedy na południe od Noteci budowano kościoły, na Krajnie czczono bogów w kamiennych kręgach, otoczonych dębowymi gajami. Tam też składało ofiary, zbierano się na narady, podejmowano ważne dla rodów decyzje. W takim kręgu na ogół znajdował się ołtarz, na którym palił się święty ogień, oraz źródło - studzienka, skąd czerpano wodę do pogańskich obrzędów.

Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że właśnie tam objawiła się Najświętsza Maria Panna, co dziś niektórzy uważają za wydarzenie prawdziwe, a inni za legendę. O tajemniczości tego miejsca świadczy zachowany do dziś granit o dość dziwnej obróbce zewnętrznej. Jest on trudny do rozszyfrowania, gdyż osiadła już na nim patyna wieków. Jego kształt przypomina twarz jakiegoś bożka pogańskiego. Wyżłobiona z boku starożytna swastyka może być symbolem słońca i światła. Są na kamieniu wyryte również liczne znaki chrześcijańskie takie, jak: krzyże jerozolimskie, krzyże bożogrobców, krzyż lotaryński, siedem wydrążonych wgłębień (7 sakramentów świętych) oraz 10 guzów (10 przykazań Bożych). Najważniejszą jednak rzeczą jest wizerunek Zbawcy, tak dziwnie skonstruowany, że z greckich inicjałów IHS wyrasta postać człowieka. Granit ten stoi dziś w kruchcie góreckiego kościoła.



Był rok 1079 po narodzeniu Chrystusa. „Najjaśniejsza Maryja Panna – pisze sześćset lat po tym wydarzeniu nieznanym nam z nazwiska zakonnik w „Rocznikach Serafickich czyli Kronice Konwentu Ojców Bernardynów w Górcie koło Łobżenicy” - raczyła się objawić nad studzienką obecnego cmentarza, nie w postaci wizerunku namalowanego czy rzeźbionego, ale w żywej postaci jaśniejącej niebieskim blaskiem, trzymając na łonie Boskie Dzieciątko. Studnia ta była wykopana przez



pasterzy dla pojenia bydła. Objawienie to widział jeden z pasterzy, pilnujący swego bydła, który to przerażony tak wielkim blaskiem, upadł na ziemię. A skoro podniósł oczy i ujrzał niewysłowny majestat i chwałę Matki Bożej, z jak najwyższą czcią oddał Jej pokłon pełen uwielbienia, z jak największą pobożnością, na jaką mógł się zdobyć, starał się ją uczcić. To samo uczyniły nieme i nierozumne zwierzęta, klęcząc na ziemi i schylając swe karki dla uczczenia wielkiej Pani nieba i ziemi. Ponieważ dość długo trwało to święte widzenie, wspomniany pasterz pobiegł do najbliższej wsi, zwanej Rataje, oddalonej zaledwie o jedną milę włoską i opowiedział przedziwne sprawy Boże. Stamtąd wielki tłum ludu przyszedł i zobaczył ciągle jeszcze klęczące bydła.”

Ponieważ opowieść ta przez sześćset lat nie została potwierdzona w żadnym źródle pisanym, a zwłaszcza w dokumentach lokalizacji miasta Łobżenicy, autor owego opisu wyjaśnia tę tajemnicę tak oto: „Podajemy to według opowiadania starych mieszczan Łobżenicy, posuniętych w latach i wielu szlachty - świadectwo zaprzysiężone, z dawien dawna podawane następnym pokoleniom, o niezwykłych łaskach i cudach Bogurodzicy, nie codziennie zsyłanych, lecz zaraz po niezwykłym objawieniu Najświętszej Dziewicy nad studzienką cmentarną. Dlatego zewsząd ogromny tłum tak z sąsiednich wiosek, miast i powiatów, jak i z dalszych okolic przybywał na to święte miejsce. Wielkie rzesze ludzi zaczęły gromadzić się dla uczczenia Boga i Jego Najłaskawszej Matki w tym sanktuarium góreckim, a zaczerpnąwszy wody z tejże studzienki, liczni ślepi i inni kalecy z pomocą Bożą odzyskawszy zdrowie i siły, uleczeni wracali do swoich domów.”

I - dodajmy - oczy swe ku wierze w Jezusa Krysta zwracali, albowiem w swej większości byli poganami. Ale rychło najazdy plemion pomorskich utrudniły im dostęp do świętego miejsca. Dopiero w trzydzieści lat później (około 1111 roku), po zwycięstwie króla Bolesława Krzywoustego pod Nakłem, gdy Krajna weszła w skład państwa polskiego, ówczesni właściciele Łobżenicy wystawili w tym miejscu kościół drewniany, dębowy, pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny.

Istnieje jeszcze jedna tajemnica góreckiego objawienia, jakże wymowna i ważna dla Polaków. Jest nią rok opisanego przez kronikarza

ukazania się Matki Bożej - 1079. Autor nie wyjaśnia, skąd go wziął, ale wierni wiążą góreckie objawienie z datą męczeńskiej śmierci biskupa krakowskiego świętego Stanisława. Odtąd kult świętego biskupa na południu kraju i kult maryjny w Diecezji Gnieźnieńskiej stały się dwoma nurtami jednoczącymi naród w jego pielgrzymce dziejowej.



Z momentem objawienia się NMP woda w studzience nabrała mocy uzdrawiającej. Odtąd Górkę pod Łobżenicą stała się stolicą duchową Krajny. To właśnie po tę cudowną wodę po dziś dzień pielgrzymują do Górki tysiące pątników i pielgrzymów, a towarzyszy im stara siedemnastowieczna pieśń, którą nadal wykonuje się w bazylice wybudowanej po latach w sąsiedztwie cudownej studzienki.

Śliczna Maryja jak piękna lilia,
Ozdobna chwałą wyznają to i ja.
Cudy jaśniejiesz w pięknym Górki gaju,
Miejscu na Krajnie, jakby w nowym raju.

Objawiłaś się w jasnej, dziennej porze,
Maryjo, jakby w jaśniejącej zorze,
Ozdobna stawasz nad źródłem dla chwały,
By Ci cześć wszystkie stworzenia oddały.

Pada i klęka bydło na kolana,
Widząc Cię Matką wszelkich rzeczy Pana.
Pasterz strwożony, bardzo się dziwuje,
Do Łobżenicy bieży, lud zwołuje.

Lud zbiegły, patrząc na bydło klęczące,
Podnosi głosy w niebo się wznoszące,
Niepokalana i czysta Dziewico!
Miej nas w opiece, o Bogarodzico!

Śmiertelna pułapka



awno, dawno temu, gdy Krajną zawładnęli Prusacy, żył gajowy Bartosz, który pilnował lasów położonych na północ od Wysokiej. Niełatwo mu się żyło, musiał bowiem zmagać się z kłusownikami, zostawiającymi wnyki na zwierzynę, którą miał obowiązek się opiekować. Wśród nich szczególnie niebezpieczny był Wojciech - gospodarz z Wąsoczy.

Początkowo Wojciech żył z pracy na roli, a kłusownictwo traktował jak rozrywkę i dodatkowe źródło dochodu, z czasem jednak tak sobie w nim upodobał, że zaniedbał własne gospodarstwo.

Chodził po okolicznych lasach, zastawiał wnyki i potrzaski, a doszedł w tym do takiej wprawy, że nikt mu nie potrafił dorównać. Tylko uczciwy Bartosz podjął z nim walkę. Całymi dniami wędrował po lasach, likwidując pułapki na leśną zwierzynę. Udało mu się złapać i ukarać kilkunastu kłusowników, ale Wojciecha dopaść nie mógł. Był zbyt sprytny i świetnie znał okoliczne lasy.

Pewnego razu Bartosz zasadził się w nocy przy świeżo zastawionych Wojciechowych wnykach. Miał nadzieję, że uda mu się wreszcie dopaść bezkarnego kłusownika. Czekał, leżąc nieruchomo ukryty za stosem chrustu, ale Wojciech nie nadchodził, mimo że w potrzasku szarpał się uwięziony zając. Gajowy już stracił nadzieję na złapanie rzezimieszka, poruszył się i przypadkowo złamał gałązkę chrustu. Trzask zabrzmiał jak wystrzał i ostrzegł leśnego złodzieja, który właśnie się zbliżał.

Wojciecha uratował przypadek, ale stracił swoje trofeum - zająca, którego litościwy gajowy uwolnił z potrzasku i wypuścił do lasu. Tego kłusownik nie mógł mu darować i postanowił się zemścić, tym bardziej że Bartosz z coraz lepszym skutkiem niszczył jego pułapki, ograniczając w ten sposób dochody ze sprzedaży dziczyzny.

Długo się zastanawiał, jak pozbyć się Bartosza i nie ponieść konsekwencji. Wreszcie wpadł na pomysł, jak go zabić. Poustawał wnyki w taki sposób, aby zwabić gajowego w widła rzeki Głomi i Kocuni, gdzie było najwięcej dzikiej zwierzyny. Tam wykopał głęboki dół, umieścił w nim ostro wyciosane drewniane pale



i umiejętnie wszystko zamaskował. Podstęp Wojciecha okazał się skuteczny. Bartosz, idąc tropem kłusowniczych wnyków, dotarł w widła rzek i wpadł w zasadzkę. Ranny leśnik nie miał szans samodzielnie się z niej wydostać.

Wojciech, który czuwał w ukryciu, czekając na efekty swego podstępu, triumfował. Stanął nad dołem i drwił z gajowego:

- Polowałeś na mnie, próbowałeś mnie złapać, ale to ja ciebie upolowałem.

To mówiąc, skierował obrzyn w stronę Bartosza i pociągnął za cyniel. Przez chwilę patrzył w milczeniu na swoją ofiarę, a następnie dokładnie przykrył dół stertą gałęzi i oddalił się z miejsca zabójstwa.



Po tym wydarzeniu Wojciecha męczyły wyrzuty sumienia, nie mógł spać, często budził się w nocy ze strachu, że ktoś odkryje jego zbrodnię. Nie zmienił jednak sposobu na życie, nadal kłusował. Jakiś czas później pracujący w lesie ludzie odkryli ciało gajowego. Wieść o morderstwie rozniosła się po całej okolicy. Nikt nie domyślał się sprawcy, ale wielu opowiadało, iż nad miejscem, gdzie zginął Bartosz, każdej nocy pojawia się jakaś tajemnicza, niepokojąca zjawą. Ludzie bali się zapuszczać w tamtą stronę lasu, zwłaszcza po zmroku.

Nawet Wojciech ze strachu przed duchem zmienił swoje kłusownicze szlaki. Chcąc ominąć miejsce zbrodni, zaczął chodzić przez bagna. Ignorował ostrzeżenia żony, że są to zdradzieckie tereny, twierdził, że zna je jak własną kieszeń. Pewnej nocy pomylił drogę i pogrążył się w topieli. Umierał powoli, tak jak ginęły zabijane przez niego zwierzęta.

Po śmierci Wojciecha żona ujawniła jego zbrodnię. Natomiast obok miejsca, gdzie zginął gajowy Bartosz, zbudowano most, który nazwano Czerwonym Mostem. Jego pozostałości przetrwały podobno do dnia dzisiejszego.

Spryciarz z Zelgniewa



cale nie tak dawno temu właścicielem majątku w Zelgniewie był stary Anzelm, człek wiekowy i zręda, a na dodatek chytrus i spryciarz kuty na cztery nogi. Nic dziwnego zatem, że w swym długim życiu dorobił się sporego majątku. Oprócz folwarku w Zelgniewie należała do niego także ludna wieś Skórka wraz z zamieszkałymi tam chłopami, którzy chodzili do folwarku, by odrabiać tam szarwark. Ze Skórki do Zelgniewa nie jest daleko, ale oddzielające obie wsie Jezioro Wapieńskie sprawiało, że aby dostać się na Anzelmowe pola, chłopci musieli nadrabiać szmat drogi. Spóźniali się przeto codziennie, powodując gniew swego pana.

– Niech was diabli wezmą – złorzeczył stary zręda, nie mając pojęcia, że w ten sposób moce piekielne przyzywa.

Pewnego dnia, gdy Anzelm po raz kolejny przywitał w ten sposób spóźnionych jak zwykle do pracy chłopów, ukazał się nagle diabeł, ale nim zdążył się odezwać, stary przeżegnał się i złego odstraszył.

Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Tym razem jednak zanim Anzelm zdołał podnieść rękę, by znak krzyża nią uczynić, czart odezwał się w te słowa:

– Wzywasz mnie codziennie, więc przybywam na twoje życzenie i mam dla ciebie dobry interes do zrobienia.

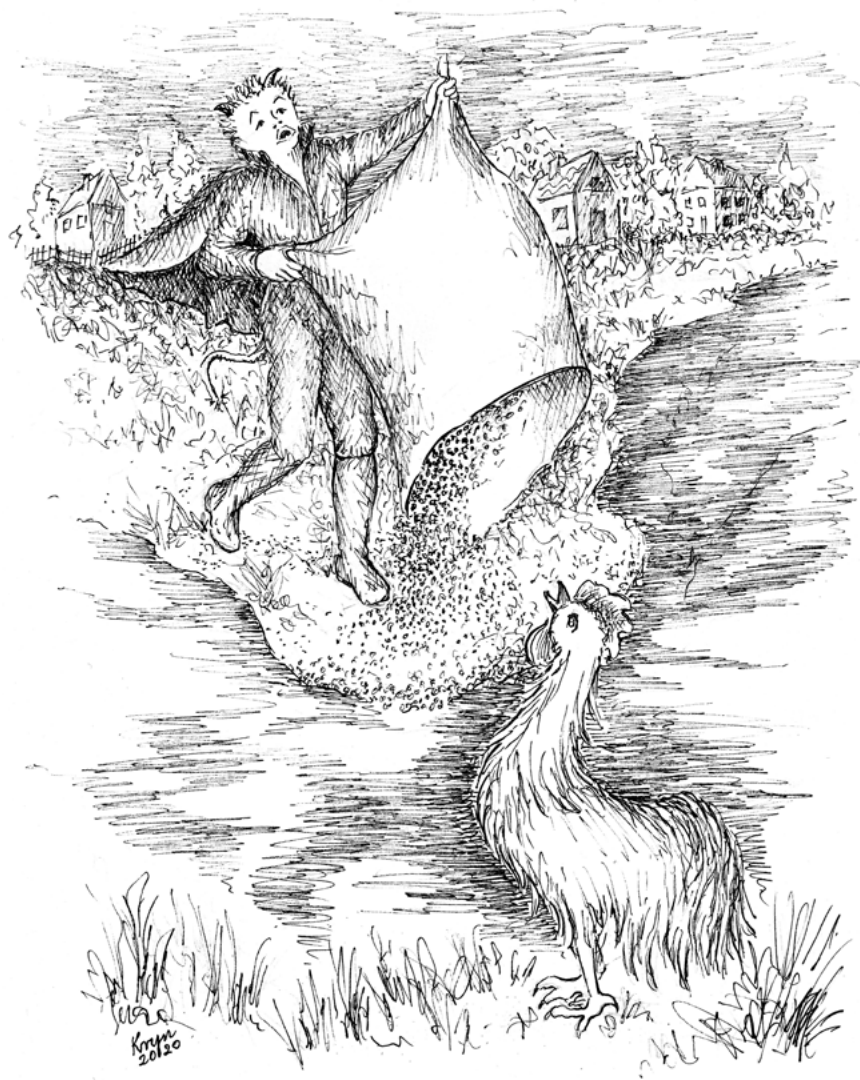
Usłyszawszy słowo „interes”, sprytny staruch, miast przeżegnać się i odpędzić diabła, nadstawił ciekawie ucha.

– Sprawię – mówił dalej czart – że twoi chłopci nie będą się spóźniać. Pobuduję przez jezioro groblę, ale ty za to oddasz mi swoją duszę po śmierci.

– Zgoda - odpowiedział po chwili namysłu Anzelm. - Ale pod jednym warunkiem. Wybudujesz groblę w jedną noc, nim pierwszy kur zapieje.

Diabeł przystał na to, bo wielce był zadufany i wierzył w swoją czartowską moc. Podpisali przeto umowę, zwaną cyrografem, którą Anzelm, by moc miała, własną krwią musiał potwierdzić. Wyznaczyli też jako termin wykonania diabelskiej grobli - zbliżającą się właśnie noc.

Gdy słońce zaszło za zelgniewskimi pagórkami, a kury poszły spać,



diabeł zabrał się do roboty. Z pobliskich pagórków zbierał piasek do wielkiej płachty i w locie (jak wiadomo, diabły od czarownic tę umiejętność posiadały) wysypywał ją w najwęższym miejscu jeziora. Zwijał się jak w ukropie, bo wiedział, że nie ma zbyt dużo czasu. Budowa posuwała się szybko i wszystko wskazywało na to, że diabeł dotrzyma terminu.

Tymczasem sprytny Anzelm, spodziewając się, że czart podoła zadaniu i groblę w jedną noc usypie, nakazał swym chłopom, by natychmiast przynieśli wszystkie koguty do jego kurnika.

– Na co mu to – zastanawiali się, nie znający warunków umowy poddani, ale rozkaz pana wykonali.

W tym czasie diabeł kończył swoją robotę. Właśnie nasypał do płachty ostatnią porcję piachu i pofrunął ku jezioru, by ukończyć groblę. Gdy zbliżał się do celu, Anzelm nakazał swym sługom wejść do kurnika i przewrócić grzędy, na których siedziały zebrane z obu wsi koguty. Zerwane ze snu ptaki piały tak donośnie, że słyszać je było w całej okolicy. Ich wrzaski dotarły także do diabła. Z wrażenia i ze złości, a może także dlatego, że uszła z niego czartowska moc, wypuścił z rąk płachtę. Piasek wysypał się nie na groblę, lecz przy brzegu jeziora. Diabeł uciekał z Zelgniewa, gdzie pieprz rośnie, a towarzyszył mu złośliwy rehot starego Anzelma, który radował się faktem, że nawet samego czarta oszukał.

Następnego dnia Anzelm zebrał wszystkich swych chłopów i razem dokończyli diabelską groblę. Odtąd kmiecie ze Skórki nie spóźniali się już do roboty, a stary Anzelm bardzo się pilnował, aby złorzecząc, nie przyzywać imienia diabła nadaremnie.

Mijały miesiące i lata. Stary Anzelm umarł, chłopci ze Skórki, zwoleni z obowiązku szarwarku, pracowali na własnych polach i do Zelgniewa przestali przychodzić, a czartowską groblę woda rozmyła. Jedynie nieopodal jeziora pozostał piaszczysty pagórek, który miejscowi na pamiątkę tamtych wydarzeń do dziś nazywają Diabelską Górą.

Dziwna masonów z Grabionnej przemiana



Grabionna, wieś leżąca przy drodze z Piły do Wyrzyska, powstała najprawdopodobniej w XV wieku. Wiadomo z dokumentów parafialnych Miasteczka Krajeńskiego, że w 1512 roku należała do parafii w Brzostowie. Z tych samych źródeł wynika także, iż w 1845 roku właścicielem jej był Ernst Friedrich Dawid Saenger, a po nim Carl Saenger.

Jednak to nie ich ludzie wspominają najczęściej. Z pokolenia na pokolenie przekazują sobie opowieści o dwóch ostatnich, tajemniczych mieszkańcach dworu: Preslingu i Mottau. Jak powszechnie sądzono, obaj należeli do masonerii. Mieszkali nad stawem, we dworze z dwoma wieżami, w którym najważniejszym pomieszczeniem był pokój bez okien, wyłożony czarnym aksamitem, gdzie - jak podejrzewano - oddawali się tajemniczym rytuałom. Niewielu wiedziało, że Presling i Mottau to bracia i że obaj potrafili przybierać postacie zwierząt. Jeden szczura, a drugi kota. A wszystko to z powodu rozpustnego ojca i zazdrosnej matki.

Ojciec braci, hulaka i bawidamek, wyjeżdżał często po pobliskiej Piły i tam trwonił majątek, swawoląc z miejscowymi kobietami lekkich obyczajów. Zazdrosna żona postanowiła go ukarać i dodała mu trutkę na szczury do obiadu. Chciała, by się rozchorował i pozostał w domu, ale przedawkowała. Otruły mąż w mękach umarł.

Wdowie udało się ujść ludzkiej sprawiedliwości, ale nie boskiej. Po pewnym czasie we dworze zadomowiły się wielkie ilości szczurów. Gryzonie te były kolosalnych rozmiarów, o bladej, długiej sierści i ciemnych oczach. W ich łapaniu pomagali synowie, a starszy czynił to tak gorliwie, że pewnego dnia został ugryziony przez szczura i na tym miejscu zaczęła mu rosnąć brunatnoszara sierść. Zaniepokojona tym wypadkiem, matka kupiła kota, który miał opinię szczególnie skutecznego szczurołapa.

Był ogromny i umiał walczyć z dokuczliwymi gryzoniami. Z kotem tym działo się jednak coś dziwnego. Rano miał białe futro i śliczną sierść, która wieczorem nabierała ciemnozielonych odcieni. Pyszczyk, ogon, uszy i łapy pokrywały cętki, a oczy świeciły ostrym, szafirowym



blaskiem. Kot okazał się skuteczny i dzięki niemu szczury wyginęły. Niestety, młodszy syn, który lubił bawić się z kotem, po pewnym czasie spostrzegł, że w miejscu przypadkowego zadrapania wyrosło mu kocie futro. Od tego czasu Presling po zmroku zamieniał się w szczura, a Mottau w kota i wyczyniali harce w czarnej komnacie, do której nikomu nie wolno było wejść.

Przypadłość braci nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie pewien parobek z Grabionnej, który służył u braci. Przyznał on, że pewnej nocy ukradł worek żyta. Kiedy wychodził z łupem, nagle – nie wiadomo skąd – pojawił się ogromny kot i dorównujący mu wielkością szczur. Nigdy ich przedtem nie widział, choć od lat pracował w majątku. Kopnął jedno zwierzę, a drugie uderzył kijem.

Na drugi dzień panowie wezwali chłopaka do siebie. Jeden z nich miał twarz posiniaczoną, a drugi kulał. Obaj wiedzieli o kradzieży i z detalami mu wygarnęli prawdę. Dla parobka był to ostatni dzień pracy we dworze. Potem długo zachodził w głowę, jak mogło się stać, że bracia nakryli go na złodziejstwie. Dopiero po jakimś czasie pewien mądry ksiądz wytłumaczył mu podczas spowiedzi, na czym polegają diabelskie sztuczki masonów.

Wieloryb w stawie



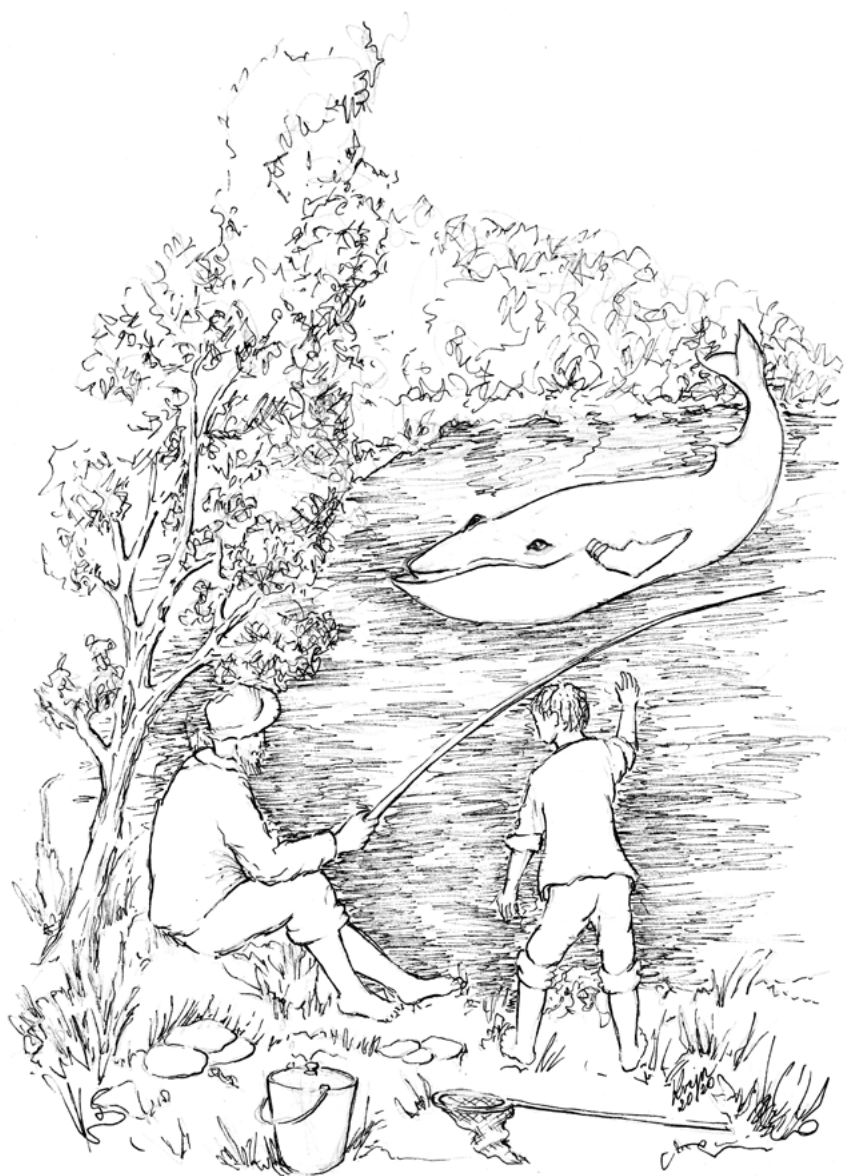
o był zły rok. Ledwie jesienią ustąpili Szwedzi, przegnani przez wojska koronne i oddziały chłopskie, a nastąpiła sroga zima. Najstarsi na Krajinie nie pamiętali takich śniegów. Zawiało drogi, zasypało chałupy aż po okna. Ludzie z trudem wydostawali się z domostw, by dokonać codziennego obrządku domowej zwierzyny. Wielu z powodu okrutnych mrozów sprowadziło bydełko do izb, ogrzewając się nawzajem.

I tak ludzie i zwierzęta razem trwali do wiosny. A ta wonczas była wyjątkowo opieszła. Mijał marzec i kwiecień, a śnieg, choć mróz nieco zelżał, ustępować nie chciał. Dopiero w połowie maja słońko mocniej przygrzało i ludzie pełni nadziei wyszli na pola, by zasiać ziarno, którego niewiele w spichlerzach pozostało.

Ale to nie był koniec nieszczęść. Wiosenne słońko rychło skryło się za chmurami. Nadeszły słotne dni. Rzeki, a nawet jeziora wystąpiły z brzegów. Wszystko, co było na polach, zgniło, a resztę zabrała powódź. Zapanował głód. Ludzie żywili się leśnymi jagodami, lebiodą, pokrzywami i innymi chwastami. Zwierzęta w pobliskich lasach również wyginęły, pozostały jedynie drobne gryzonie, płazy i... ryby. Te jednak w brudnych i zmaconych powodzią wodach trudno było złapać. Mimo to ludzie wytrwale czatowali na nie, siedząc godzinami z prymitywnymi wędziskami nad brzegami jezior i rzek. Najczęściej bez efektów.

Nieszczęścia nie ominęły także wsi Czajcze koło Wysokiej. Mieszkali tu w zgodzie obok siebie Polacy i Niemcy. Byli to ludzie ubodzy, ale bardzo pobożni. Zamiast złorzeczyć niebu, jak inni dotknięci klęskami, głodem i śmiercią najbliższych, wznosili modły do Boga, prosząc o cud, który by ich życie uratował. I Bóg ich wysłuchał.

We wsi był staw, nad którym stał okazały młyn. Mieszkał w nim stary Niemiec Wilhelm z liczną rodziną. Mimo że był człowiekiem jak na owe czasy majątnym i jego dotknęła bieda. Młyn został zniszczony przez powódź, która zabrała też resztki zapasów z przymłyńskiego spichlerza.



Młynarzowy syn Hans, jak pozostali czajczanie, spędzał całe dni nad stawem z wędziskiem w ręku. Nagle dostrzegł ogromną rybę, która nieostrożnie wpłynęła na przybrzeżną płyciznę i tak już została, nie mogąc wydostać się z matni. Był to młody wieloryb. Wodami wezbranych rzek i jezior, nie wiedzieć jak, przypłynął do czajczego stawu. Chłopiec, przestraszony ogromem wodnego potwora, narobił takiego krzyku, że zbiegła się nad wodę cała wieś. Ludzie, zobaczywszy ten niewątpliwy dar niebios, uklękli najpierw i wzniesli dziękczynną modlitwę do Boga, uznając, że to Stwórca sprawił ów cud.

Potem sprawnie zabrali się do roboty. Wydobyli wieloryba z wody i poćwiartowali go. Za namową młodego Anzelma, który kilka lat służył na królewskiej fregacie i po świecie pływał, wytopili z wielorybiego tłuszczu tran, który – jak się potem okazało – za sprawą swych uzdrawiających właściwości uratował im życie.

Wielka radość zapanowała we wsi. A że czajczanie byli ludźmi uczynnymi, podzielili się swą zdobyczą z sąsiednimi wioskami. Głód wreszcie ustąpił, a na pamiątkę owego niezwykłego wydarzenia zaczęto nazywać Czajcze, zwłaszcza wśród okolicznych Niemców, Wątrowem. Nazwa ta prawdopodobnie pochodziła od słów „wał” (wieloryb) i „tran” (tran). Dziś nawet najstarsi mieszkańcy już pochodzenia tej nazwy nie pamiętają, dlatego postanowiłem przypomnieć opowieść o wielorybie z Czajczy.

Śmierć Danabora



ysoka należy do najstarszych osad na terenie historycznej Krajny. Jej początki nie są jeszcze do końca zbadane, ale wymienienie nazwy Visoka w dokumencie z 1260 roku pozwala snuć przypuszczenia, że życie kwitło tu znacznie wcześniej. Miejscowość przez kilka wieków była własnością szlachecką. Władali nią Danaborscy herbu Topór, ród wywodzący swe korzenie z sąsiadujących z Krajną Pałuk.

Historia zapamiętała kasztelana nakielskiego Zbyluta z Danaborza, zmarłego około 1364 roku, który przez wiele lat zarządzał Krajną w imieniu króla Kazimierza. Legenda zaś przypomina założyciela rodu, Danabora - zbójcę, który podobnie jak równie legendarny Janosik miał okradać bogaczy z bydła, po czym rozdawał je najbiedniejszym mieszkańcom okolicy.



Wiatr przybierał na sile. Raz za razem targał koronami drzew i smałał sitowiem porastającym brzegi jeziora. Zapowiadała się dżdżysta i niespokojna noc. Miejscowi już dawno zaryglowali drzwi swych domostw, więc nikt nie tylko nie słyszał, ale i nie widział podążających traktem jeźdźców. Ci zaś, kuląc się w siodłach z zimna, pośpiesznie zmierzali w kierunku zamku.

Gdy dotarli na miejsce, pokryty mrokiem dziedziniec rozświetliły rozpalone w pośpiechu łuczywa.

- Konie do stajni, worki na komnaty – zabrzmiał nie znoszący sprzeciwu głos Danabora, który zeskoczył z konia, rzucił lejce stajennemu i ruszył w kierunku zamku, gdzie w głównej komnacie czekał na niego posiłek.

Usiadł wraz z kompanami przy stole i bez zbędnych ceregieli sięgnął ręką do misy pełnej pieczonych sztuk mięsiwa. Podobnie uczynili jego drużynnicy. Jedli w milczeniu. Byli głodni i źli. Łupieżcza wyprawa, z której wracali, tylko po części zakończyła się sukcesem. W okolicznym jarze musieli zostawić zdobycz - bydło, które gnali aż z okolic Ujścia.



- Trzeba jutro po nie wrócić – odezwał się po chwili któryś z biesiadników. - Oby tylko nie rozpierzchno się w taką noc.

- Nie kracz - uciszył go Danabór.

Też miał złe przeczucia. Nie był już młody i coraz rzadziej opuszczał zamczysko. Tylko tu czuł się bezpiecznie. Gorzej na otwartym polu. Tam trudno się przed wrogami schronić, a wielu na życie jego dybało. Chłopów się nie bał. Ci go miłowali, bo starał się ich biedzie ulżyć. Bogatych kupców na drogach i panów w ich dworach łupił, a zdobyczą dzielił się z kmieciami. Lud go kochał, natomiast bogacze nienawidzili. To oni pragnęli jego śmierci. I co gorsza, coraz skuteczniejszy stawiali mu opór. Czuł, że zbliża się kres jego zbójnickiego żywota. Już dziś był blisko śmierci. Wracał z dalekiej wyprawy na Krajnę, gdzie o łup łatwiej, pędził bydło zdobyte w rozboju. Gdy do zamku zaledwie miła została, niespodziewanie drogę zbójcom zagroził oddział zebrany przez starostę ujskiego. Cudem udało się uniknąć walki i przedostać do zamku. Ale bydło trzeba było pod okiem kilku pachołków w wąwozie schować.



Deszcz ustał i księżyc wychylił się zza chmur. Do świtu pozostały jeszcze ze dwie godziny, kiedy Danabór i jego ludzie wymknęli się z zamku. Przedzierając się przez las, dotarli do jaru. Ucieszyli się, że pachołkom udało się stado w całości utrzymać. Nie wiedzieli, że sprytny starosta jar odnalazł i przygotował zasadzkę. Umieścił łuczników po obu stronach wąwozu, a przy wejściu do niego ukrył kilkunastu wojów z toporami, którzy pułapkę mieli zamknąć.

Gdy tylko zbójcy Danabóra rozpierzchno się, by stado do kupy zebrać i popędzić do zamku, topornicy zablokowali wejście do wąwozu, a łucznicy szyć zaczęli z łuków, kładąc jednego po drugim. Danabór, odkrywając zamiar starosty, z kilkoma towarzyszami rzucił się na toporników, by drogę ucieczce utorować, ale na nic to się zdało. Różnica sił była zbyt duża, a wojowie starosty zbyt biegli w walce, by pozwolić szyk swój złamać.

Walka nie trwała długo, bo szans ani na obronę, ani na ucieczkę nie było żadnych. Danabór, choć dzielnie stawał i w pojedynkę nikt mu do-

trzymać pola nie potrafił, padł w końcu strzałą trafiony prosto w serce. Zginęli także wszyscy jego towarzysze.

Śmierć zbójcy rozgłoszono triumfalnie po okolicy, a starosta ujski wziął nagrodę, którą za głowę Danabora wyznaczono. Cieszyli się panowie i kupcy, jeno lud prosty po swym dobrodzieju płakał. I szczodrości jego nigdy nie zapomniał. Przekazywano sobie z ust do ust opowieści o jego czynach, aż w końcu osadę nieopodal zamku, na południowym brzegu jeziora, Danaborzem zaczęto nazywać. Od tej to nazwy ród Danaborskich powstał, z którego pochodziło wielu mężów zasłużonych dla Krajny.

Farmazyn z Trzebonia



e wsi Trzeboń koło Łobzenicy, we dworze położonym na wzgórzu za jeziorem, mieszkał hrabia Johannes Amadeus Tepper, właściciel majątku. Arystokrata ów był Niemcem, ale w młodości wiele podróżował i nabrał modnych wówczas w eleganckim świecie manier. Lubił przechadzać się po swoim, urządzonym na wzór angielski, ogrodzie w czarnym ubraniu, w cylindrze na głowie i laseczką ze złotą gałką, którą wywijał w powietrzu, nie wiedząc, że zza ogrodzenia obserwowany jest przez gromadę wiejskich dzieciaków, które później mówiły, co widziały, swoim ciekawskim rodzicom, nierzadko ubarwiając swe opowieści.

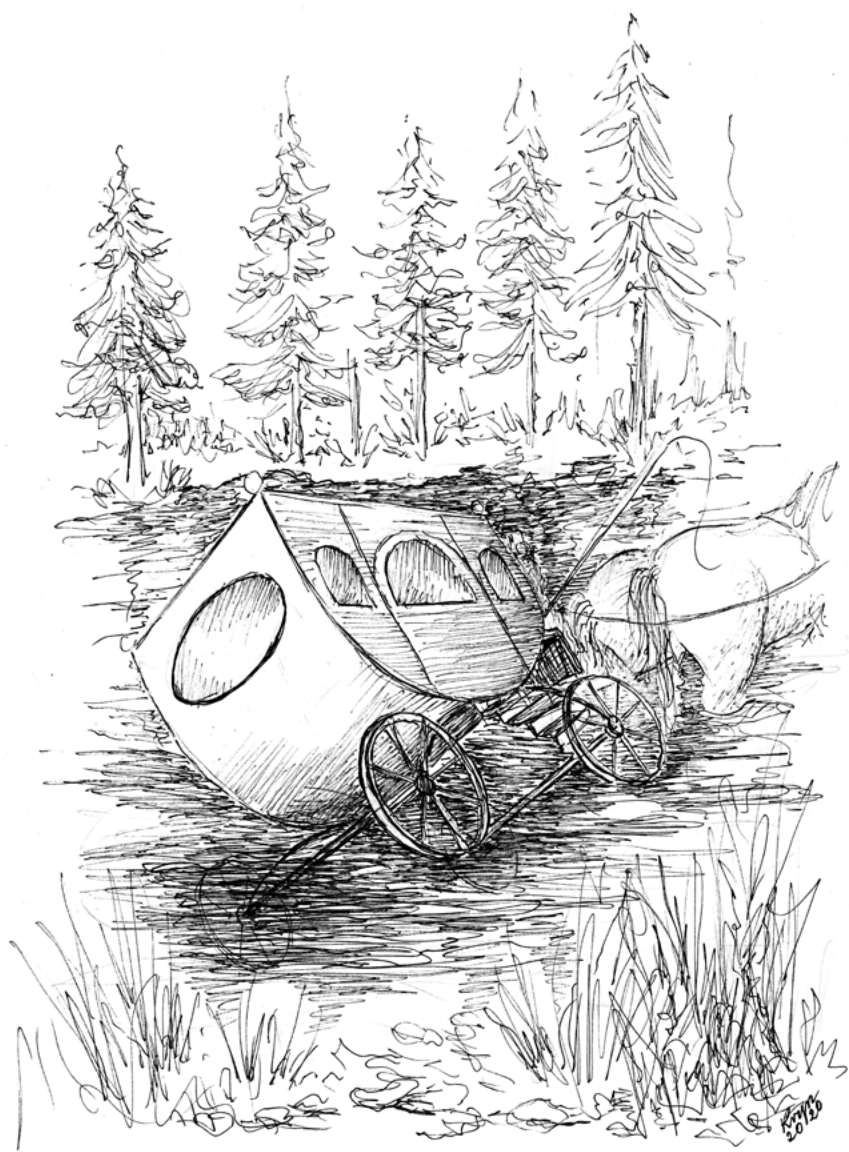
Hrabia nie miał rodziny. Otoczony liczną służbą, publicznie pokazywał się jedynie z młodym i przystojnym Dominikiem, którego pewnego razu przywiózł z zagranicznych wojaży. Nie był on ani jego krewnym, ani służącym. Hrabia nazywał go swym sekretarzem, ale nikt nigdy nie widział, by młodzieniec cokolwiek innego robił niż towarzyszył swemu panu. Wieśniacy Dominikowi głośno współczuli, uważając go za niewolnika hrabiego. Do czasu, gdy ksiądz Antoni stworzył im oczy.

Tak rosła zła opinia o hrabim, którego proboszcz w łobzenickim kościele św. Anny często gromił podczas kazania, nazywając ateistą, masonem, czyli jak na Krajnie mówiono, farmazynem.

- Wiadomo powszechnie - grzmiał z ambony - że farmazyn duszę diabłu zapisuje na cyrografie piekielnym, podpisanym krwią z własnego serdecznego palca. W zamian ma moc pojawiania się w kilku różnych miejscach jednocześnie oraz uśmiercania na odległość ludzi i zwierząt.

Fakty zdawały się potwierdzać słowa kapłana. Istotnie, hrabia Tepper do kościoła nigdy nie chodził, ani do katolickiego, ani ewangelickiego, ani nawet do synagogi.

Kazania księdza, który ostrzegał przed złymi uczynkami służącemu czartowi hrabiego, sprawiły, że na Trzeboń padł blady strach. Najpierw działaniom Teppera zaczęto przypisywać zgony nagłe i niewytłumaczalne, potem utonięcia w jeziorze, a także narodziny martwego



lub kalekiego dziecka. Później obwiniano go właściwie o wszystkie zdarzenia we wsi, których ludzie nie umieli sobie wyjaśnić w inny sposób: na przykład o plagę myszy jednego roku czy pomór na drób drugiego.

Tymczasem hrabia korzystał z uroków życia. W każdą sobotę wieczorem z bramy pałacu wyjeżdżała z hukiem czarna karoca, zaprzężona w sześć czarnych koni, bez świateł, bo - jak powiadali ludzie - drogę przez wieś, wyłożoną kocimi łbami, oświeślały żarzące się niczym rozpalone węgle ślepia demonów z diabelskiego zaprzęgu. W karocy siedzieli ubrani na czarno hrabia wraz ze swym sekretarzem, którego woził, by mieć towarzystwo, a także dlatego, że się bez niego obejść nie mógł.

Trzeboniacy już Dominikowi nie współczuli, bo poznali z ust księdza Antoniego, jakim praktykom się ze swym panem oddawał, przed którymi prawdziwego i bogobojnego katolika lęk ogarniał, zgroza, wstyd i obraza boska. Było oczywiste, że hrabia z diabłem zawarł pakt, służył mu, a po nocach na jego cześć orgie seksualne odprawiał i szatańskie nabożeństwa, nie w swojej rezydencji wprawdzie, lecz wyjeżdżał specjalnie w tym celu swoją karocą, której odgłos powodował ciarki po plecach włóścian.

Hrabia Tepper istotnie wyjeżdżał wieczorem w każdą sobotę. Ale nie na spotkanie z diabłem, lecz do sąsiedniej posiadłości, z której właścicielem i kilkoma innymi przyjaciółmi namiętnie grywał w karty, popijając przy tym mocne, włoskie wino.

Tak mijały miesiące i lata. Hrabia wraz z Dominikiem jeździł co tydzień do sąsiada, a trzeboniacy, podjudzani kazaniami księdza Antoniego, coraz to bardziej nieprawdopodobne historie o swym panu opowiadali.

Pewnej niedzieli, koło południa, hrabia ze swym sekretarzem wracali do pałacu. Znużeni winem i całonocną grą, obaj zasnęli. Nagle czy to zwierz przebiegł drogę, czy to czart konie popędził, dość że spłoszyły się i pognały prosto do trzebońskiego jeziora. Ludzie widzieli, jak karoca powoli znika w głębinie, słyszeli krzyki tonących, ale nikt we wsi na ratunek nie pospieszył.

- Jeśli diabłu służą, to niech diabeł im pomoże - mówili do siebie. Po czym ci bardziej krewcy ruszyli do pałacu hrabiego i przepędziwszy służbę, jęli się rabunku i kradzieży. Na koniec podpalili pałac, by ani jeden ślad po farmazynie nie został.



Jeszcze dziś w Trzeboniu starzy ludzie o tym wydarzeniu pamiętają i powiadają, że był w tym palec boży, bo hrabia jako człek grzeszny za winy swe karę ponieść musiał. Natomiast potomkowie tych, którzy dopuścili się grabieży, wspominają, choć niechętnie, że w księżycowe noce mora ich dusi i budzi tętent koni pędzących z karocą na zgubę. O dalszych losach księdza Antoniego legenda milczy.

Podanie o źródłach Łobzonki

*„Od powietrza, głodu, ognia i wojny
Wybaw nas, Panie!”*



Te słowa starodawnego hymnu kościelnego, śpiewanego jedynie przy szczególnych okazjach, często rozbrzmiewały w świątyniach Krajny. „Powietrze”, czyli nic innego jak zaraza, która wielokrotnie przechodziła tu, dziesiątkując ludność i sprawiając, że okolice wyludniały się, a przecież nie była to zbyt gęsto zamieszкана kraina. Od średniowiecza aż po wiek XX pojawiały się wzmianki lub relacje o straszliwych epidemiach, dziesiątkujących mieszkańców Krajny, a i dziś pandemia koronawirusa zmusiła wszystkich do nadzwyczajnych zachowań i szczególnej ostrożności. Dawniej morowego powietrza obawiano się bardziej niż głodu, ognia i wojny, bowiem epidemii nie można było przewidzieć. Nadchodziła znienacka i atakowała wszystkich. Tak było też przed wielu wiekami, kiedy do Europy dotarła przywleczona przez Arabów epidemia dżumy.

Pewnego dnia w karczmie przy trakcie nad Notecią, wiodącym z dalekiego Rzymu nad Bałtyk, zatrzymał się pątnik. Mimo że biesiadujący tu kmiecie zapraszali go do stołu, usiadł z dala od wszystkich i w milczeniu lustrował obecnych swym przepastnym, ponurym spojrzeniem. A oczy miał czarne, głęboko osadzone, co sprawiało wrażenie jakby pustych oczodołów śmierci.

Gwar w karczmie ucichł, a serca wszystkich ścisnął jakiś niewytłumaczalny strach. Co odważniejsi zaczęli domagać się od karczmarza - Żyda, by wyrzucił owego pielgrzyma. Ten z początku się opierał, bo zwykł swych gości szanować, ale że niechęć wobec dziwnego pątnika rosła w siłę, grożąc samosądem, w końcu zażądał od niego, by sobie poszedł. Wtedy kilku krewkich młodzieńców dopadło intruza i wypchnęło go siłą na drogę. Gdy pątnik podniósł się utyłany w błocie, rzucił w ich kierunku jakieś przekleństwo w obcym języku. Jednocześnie jego czarne oczy zapłonęły wściekłością niczym rozżarzone węgle. Ludzi w karczmie trwoga chwyciła za gardło i nikt już nie miał ochoty na dalsze biesiadowanie.

Tuż przed zmierzchem niebo pokryło się ciężkimi, burymi chmurami,



z których spływała gęsta mgła, a wraz z nią morowe powietrze rozeszło się po całej Krajnie. Jeszcze tego samego dnia zachorowali wszyscy biesiadnicy karczmarza. Kilka dni później żaden z nich już nie żył.

Duszne, morowe powietrze truło przy każdym oddechu i na nic zdążyły chusty na twarzach, nasyczone octem. Przerażeni ludzie chowali się po swych zagrodach, ale nawet do najdalszych zakątków Krajny docierała śmierć. Byli tacy, którzy spotkali złowróżbny orszak jej towarzyszący i cudem jakimś przeżywszy, opowiadali potem, że widzieli wyrzuconego z karczmy pielgrzyma z kosturem w ręku, jak siedł obok kobiety odzianej w czarną, postrzępioną płachtę. Za nimi radośnie płaśwał diabeł w przebraniu myśliwego, a na końcu wolno włókł się smutny Anioł z opuszczonymi skrzydłami i lilią w ręku.



W tym czasie w jednej z nielicznych wiosek na Krajnie żyła rodzina Gagaczków. Ojciec łowił ryby i zakładał sidła na drobną zwierzynę. Jego żona przy pomocy licznej gromadki dzieci uprawiała rzepę, len i konopie. Żyli skromnie, nie biedowali. Spędzali czas na pracy i modlitwie. Chata ich stała nieco na uboczu, ale i tutaj dotarła zaraza. Najpierw zachorowało najmłodsze dziecko - ledwo dwumiesięczna dziewczynka. Niewiasta od swej matki znała leczniczą moc wielu ziół, ale tak małemu dziecku pomóc nie zdołała. Ojciec, polując coraz rzadziej dom odwiedzał, a kobieta samotnie toczyła ciężką walkę o życie i zdrowie dzieci. Niestety, przegrywała. Jedno po drugim marli jej synowie i córki, chociaż matka opiekowała się nimi i żarliwie modliła, wznosząc swe prośby do Boga.

Gdy już tylko jedno dziecko przy życiu zostało, Bóg ulitował się nad losem nieszczęsnej niewiasty i wysłał archanioła Gabriela na zwiady. Ten, zobaczywszy ubogie osiedla, nieszczęsnych mieszkańców i szalejącą śmierć, przysiadł za chatą Gagaczków na suchej ziemi i ucałował ją. Zakrył twarz skrzydłami, gorzko zapłakał. Z jego łez powstało źródło i popłynęła zeń ku Noteci rzeczka, która zbierała stojące wody i morowe powietrze. Wtedy dolina, gdzie dotąd śmierć szalała, zamieniła się w piękną, żyzną krainę. Od anielskiego pocałunku („całować” brzmi po staropolsku „łobza”) miejscowy lud nazwał rzeczkę Łobzonką. Na jej brzegu zaś powstało miasto Łobżenica.

Przekłeta karczma w Szczerbinnie



arczma była ważnym punktem w każdej miejscowości. Stanowiła miejsce spotkań, wyszynku i noclegów dla podróżnych. Pierwsze austerie na Krajnie zaczęły powstawać w średniowieczu, co związane było z prawem właściciela ziemi do sprzedaży alkoholu i czerpania z tego zysków, zwanym prawem propinacji. Oberże stawiano szczególnie przy ruchliwych traktach. Budowano je z najpopularniejszego ówczśnie materiału – z drewna.

Wiele lat temu taka właśnie karczma stała przy drodze do Szczerbina, na samym jej zakręcie, w sąsiedztwie niewielkiego, drewnianego kościołka. I jak to w karczmie bywa, zawsze tam ktoś nocował, jadł i pił, a także różne breweryje też się tam odbywały. Właściciel karczmy, stary wdowiec Walenty, dbał o to, aby jego goście grosza nie skąpili, stąd w jego oberży dobrego jedzenia, mocnego napitku, lulek, tańców i swawoli nie brakowało. Prawości i cnotliwości próżno było tam szukać. Chłopi coraz częściej zamiast iść do kościoła, także w niedzielę karczmę odwiedzali, trwoniąc nie tylko w pocie czoła zarobiony grosz, ale gubiąc swoją duszę, przed czym ostrzegał ksiądz podczas niedzielnych kazań.

Biednieli kmiecie w Szczerbinnie, a bogacił stary Walenty. Powiększał swój majątek, rozbudowując karczmę i zatrudniając w niej coraz więcej osób. Do służby wybierał głównie młode i urodziwe dziewczyny, słusznie przewidując, że ich widok przyciągać będzie do jego przybytku coraz więcej gości. Miał też Walenty inny, ukryty cel. Żona, która zmarła mu przed kilku laty, była bezpłodna. Nie miał więc dziedzica dla swego coraz bardziej okazałego majątku i szukał niewiasty, która by mu go urodziła.

Wśród pracujących u niego dziewczek urodą i wdziękiem wyróżniała się Dobrochna, córka wdowy ze Szczerbina. Gdy zmarł jej ojciec, bieda zajrzała do kmieciej chaty. Matka najmowała się do prac w polu, ale córki na służbę nikt wziąć nie chciał. Ją to upatrzył sobie Walenty.

Nieświadoma zamiarów starego rozpustnika, Dobrochna propozycję służby u karczmarza uznała za dar losu, dopóki nie zrozumiała,



jak wszeteczne były jego zamiary. Stary bowiem już po kilku miesiącach przestał kryć się ze swoimi planami wobec urodziwej córki wdowy ze Szczerbina. Im lepiej ją poznawał, tym większe budziła w nim żądze. Zapłonął do niej miłością bez wzajemności. Dziewczyna obojętnie przyjmowała jego umizgi, udając, że nie rozumie ich celu. Służby jednak nie porzuciła, bo matka, która podupadła na zdrowiu, nie mogła już pracować i pozostawała na jej utrzymaniu. Wykorzystał to przebiegły Walenty i w zamian za pieniądze i obietnicę opieki wymógł na matce zgodę na ślub z jej córką.

Zapewne stary karczmarz osiągnąłby swój cel i Dobrochna została jego żoną, gdyby nie Gniewko, syn handlarza z Łobżenicy, który wojażował z ojcem, doskonaląc swe umiejętności kupieckie. Pewnego dnia podczas podróży z Gdańska zatrzymali się w oberży w Szczerbinie. Choć do domu mieli już niedaleko, głodni byli i postanowili się posilić w karczmie, która w okolicy słynęła z dobrej kuchni. Tu Gniewko po raz pierwszy zobaczył Dobrochnę, usługującą gościom. I serce jego gwałtowniej zabiło. Zachwycił się urodą dziewczyny, a gdy zobaczył, że i ona spogląda na niego ukradkiem, zawładnęło nim uczucie, którego dotąd nigdy nie zaznał.

Odtąd coraz częściej odwiedzał karczmę i to nie tylko podczas kupieckich wyjazdów z ojcem. Młodzi zadurzyli się w sobie i zaczęli myśleć o wspólnym życiu. Nie uszło to uwadze Walentego. Wezwał do siebie Dobrochnę i pokazał jej zobowiązanie podpisane przez matkę. Dziewczyna załżała się łzami i uciekła do domu. Matka, gdy zorientowała się, jak wielką krzywdę wyrządziła swemu dziecku, rozchorowała się na amen i rychło potem umarła. Dobrochna została sama. Gniewko, który z ojcem wybrał się w zamorską podróż, nie dawał znaków życia, a stary Walenty coraz natarczywiej domagał się spełnienia obietnicy matki. Dobrochna uległa. Stary zbereźnik, nie zważając na to, że nastał czas adwentu, przygotował huczne wesele, które - tak w swej próżności zamierzał - miało być wydarzeniem, jakiego dotąd nie widziała okolica. W karczmie więc hulanka trwała dwa tygodnie, a o breweryjach, jakie się tam odbywały, wstyd nawet wspominać. Dość że w niedzielę kmiecie, zamiast pójść na roraty, pili na umór w oberży Walentego.

Kilka dni później obok karczmy przejeżdżał ksiądz z Panem Jezusem do chorego, a hulający, nie tylko że nie przyklękali, ale nawet na jedną chwilę nie przerwali zabawy. Ksiądz się mocno zagniewał i przeklął oberżę oraz tańczących w niej ludzi. Nagle rozpętała się niespotykana o tej porze roku burza i tak gwałtowna, jakiej ni przedtem, ni potem ludzie nie widzieli. Piorun uderzył w karczmę. Ta, zamiast spłonąć, cała z tanecznikami zamieniła się w wielki głaz, który z czasem zapadł się pod ziemię.

Jeszcze dziś starzy ludzie opowiadają, że od tamtego czasu w miejscu, gdzie stała karczma, nocami straszy.

Jak chłopci Szwedów na „Śmiertelnej Górze” pokonali



dy fala szwedzkiego potopu zaczęła zalewać Rzeczpospolitą, pierwszą jej ofiarą padła Krajna. Wojska feldmarszałka Arwida Wittenberga po przekroczeniu granicy zniszczyły Skrzatusz, Starą Łubiankę i Kotuń, spustoszyły Piłę i po haniebnej zdradzie pospolitego ruszenia pod Ujściem zagarnęły całą północno - zachodnią Polskę.

Magnaci i szlachta, poddając się władzy heretyckiego monarchy, liczyli na to, że ich dobra rodowe zostaną przez Szwedów oszczędzone. Istotnie, tak początkowo było. Ale mieszczan i ubogich kmieciów żadne układy nie chroniły. Szwedzkie wojska w myśl powszechnej wówczas zasady, że wojna musi się żywić sama, rujnowały polskie ziemie, grabiąc mieszkańców z ich wielopokoleniowego dobytku. Po kilku miesiącach, gdy z chłopów i mieszczan wiele wycisnąć już się nie dało, żołdacy zaczęli rabować także majątki szlacheckie. Nie szczędzono zwłaszcza posiadłości katolików i mienia żydowskiego. Wkrótce najzagorzalsi nawet zwolennicy szwedzkiego króla nie mogli już dalej udawać, że oddanie kraju we władanie monarchy skandynawskiego wyszło Polsce na dobre, a coraz powszechniejsze stawało się przeświadczenie o konieczności wyparcia łupieżców z granic uciemżonego królestwa. Przełom nastąpił po tym, gdy Szwedzi zaczęli oblegać Częstochowę.

Wieść o napaści na Jasną Górę z zamiarem ograbienia Najświętszej Paniienki lotem błyskawicy rozeszła się po całym kraju. Dotarła także na Krajnę, wywołując oburzenie ludu i miejscowej szlachty katolickiej. Szczególnie zawzięci na „pludrów” - jak pogardliwie nazywano szwedzkie wojska - byli wierni z parafii morzewskiej. Obejmowała ona wówczas wsie Morzewo, Rzadkowo, Krzewinę, Dziembowo i Byszki.

Mieszkańcy tej parafii niemal od pierwszych dni potopu szwedzkiego dotkliwie odczuwali jego skutki. Najeźdźca zmusił ich bowiem do budowy traktu przez Noteć, którym wywożono do Szwecji łupy zrabowane w Rzeczypospolitej. Zmuszano chłopów do cięcia okolicznych lasów,



zwłaszcza dębiny i układania jej dla przebycia bagien w poprzek drogi łączącej Piłę, Ujście i Chodzież. Nikt nie myślał o zapłacie ani za drewno, ani za pracę, ciesząc się, że głowę zdołał uratować, bo Szwedzi dla katolików byli okrutni.

Kiedy więc rozniosło się wśród morzewskich parafian, że Szwedzi oblegli Jasną Górę z cudownym obrazem Matki Boskiej, wzburzenie ludu doszło do najwyższego stopnia i dodało włościństwu miejscowemu odwagi do zbrojnego wystąpienia przeciw najeźdźcom.



W listopadowy wieczór na plebanii u księdza proboszcza zebrali się sołtysi wsi należących do parafii oraz co znaczniejsi miejscowi rzemieślnicy. Jednomyślnie urządzono, że trzeba Najświętszej Panience ruszyć na pomoc.

- Ale nie z pustymi rękoma - studził zapał parafian ksiądz proboszcz.
- Trzeba nam najpierw broni. Coś tam po okolicznych dworach się znajdzie, ale niewiele tego, bo heretycy broń wszelaką grabili. A nam trzeba krócić i muszkietów.

- To ja w Pile spróbuję proch kupić - zaofiarował się piwowar z morzewskiego browaru, z którego dochód probostwu był przypisany. - Jak ksiądz proboszcz zgodę da, to za piwo go dostanę.

Kapłan skinieniem głowy przyzwolił, po czym rzekł:

- Niech kowale piki, spisy, rohatyny i oszczepy kują. Marna to broń, ale z gołymi rękoma na wroga przecież nie pójdziemy. I dobrze ją po zagrodach pochować, bo w każdej chwili może być potrzebna.

Miał rację ksiądz proboszcz. Oto nie minęły dwie niedziele, a do Morzewa przybiegł z wieścią Sobek, syn kowala z Rzadkowa, że niewielki oddział infanterii (piechoty) szwedzkiej na wzgórzu pod wsią zaległ obozem, prowadząc wozy z łupami.

Ksiądz wysłał po wsiach ministrantów, by ludzie z bronią, jaką mieli pod ręką, stawili się pod kościołem. Wieczorem zebrało się kilkudziesięciu chłopów. Korzystając z rady starego Macieja, który jako młodzik służył w łanowej piechocie, wysłano najpierw na przespiegi kilku chłopców. Mieli oni obserwować Szwedów i dać znać, kiedy się pośpią.

Po północy powrócił jeden z nich:

- Szwedy śpią, leżą pokotem przy ognisku, a kilku wozów pilnuje. Ci też posnęli.

- No to w drogę - zarządził stary Maciej, któremu dowództwo powierzono.

Po chwili oddział zniknął w ciemności, żegnany znakiem krzyża przez proboszcza. Podzieleni na dwie grupy, chłopci uderzyli znienacka. Jedni uzbrojeni w kosy, widły i siekiery napadli na śpiących wrogów, przycisnęli belką pokotem leżących żołnierzy i tak obezwładnionych pozabijali. Drudzy wdarli się do obozu i nie biorąc jeńców, zgładzili pozostałych piechurów. Nim słońce wzeszło, po Szwedach nie było śladu, a chłopci wrócili do swych domostw objuczeni bronią i dobytkiem.

Wieść o zwycięstwie morzewskich kmieci rychło rozeszła się po Krajinie, ale ponieważ takich potyczek było wówczas wiele, nie zanotowali jej kronikarze. Tylko w najbliższej okolicy, wśród ludu, pamięć o tym wydarzeniu przetrwała.

Wzniesienie między Morzewem a Rządkiem, gdzie odbyła się rzeź Szwedów, nazwano „Śmiertelną Górą”. Jeszcze sto lat potem ludzie opowiadali sobie, że za wyrządzone krzywdy dusze zabitych Szwedów zmuszone były raz do roku, jesienią, czynić pokutę. Wtedy nikt nie miał odwagi znaleźć się w pobliżu wzgórza. Jeśli jednak pojawił się taki śmiałek, słyszał głos trąbki, tętent koni, szcęk szabli i dzikie okrzyki. Mógł też zobaczyć, jak na czele oddziału pędził jeździec z dziko ogniem płonącymi oczyma, wymachujący mieczem. Za nim kilkunastu konnych z rozwichrzonymi włosami, ubranych w czarne płaszcze. Mógł też usłyszeć przerażający wrzask i wołanie o pomoc.

Biała dama z Jabłonowa



abłonowo to stara wieś szlachecka, leżąca dziś przy szosie Ujście - Czarnków. Kiedyś była własnością Jabłonowskich herbu Zaremba. Oni też wznieśli tu dwór, który rozbudowany później, do dziś jest ozdobą i atrakcją wsi.

Przed laty we dworze owym mieszkała dziewczynka o imieniu Anna, córka właściciela dworu, jedynaczka rozpieszczana przez ojca, który wychowywał ją sam po przedwczesnej śmierci żony. Szlachcic, zajęty gospodarstwem, nie miał zbyt wiele czasu, by spędzać go z córeczką, ale kochał ją bardzo i obsypywał prezentami. Na dwunaste urodziny kupił panience śliczną klacz, która odtąd stała się jej nieodłączną przyjaciółką. Razem wędrowały po okolicznych lasach, będących od lat drugim domem Ani, bowiem kochała przyrodę. Z czasem nawet zaprzyjaźniła się z żyjącymi tam dzikimi zwierzętami, którymi opiekowała się, gdy potrzebowały pomocy. Chroniła je przed grasującymi w okolicy kłusownikami, opatrywała rany zwierząt, gdy wpadały we wnyki i pułapki.

Mijały lata. Z małej dziewczynki wyrosła śliczna panienka o długich blond włosach, dużych, niebieskich jak chabry oczach, wrażliwa na piękno natury i posłuszna ojcu. Gdy skończyła 18 lat, pan na Jabłonowie począł rozglądać się za mężem dla swej córki. Panna Anna miała odziedziczyć wcale niemały majątek, dlatego konkurent musiał być osobą godną i bogatą. Długo więc przebierał Jabłonowski wśród zalotników, których pięknej pannie nie brakowało, ją samą, ówczesnym zwyczajem, o zdanie nie pytając. W końcu jego wybór padł na starego, ale bardzo bogatego starostę ujskiego. Spotkał się z nim i obaj podpisali intercyzę, niezwykle dla panny korzystną, bo majątek po mężu, gdyby mu się coś przydarzyło, miał stać się własnością Jabłonowskich. Teraz już tylko musiał o tych matrymonialnych planach powiadomić córkę. Był pewien jej zgody.

Pięknego, letniego dnia ojciec wezwał jedynaczkę i począł wyjawiać jej swe zamysły. Zajęty opowieściami o zaszczytach, czekających



Anię u boku starosty, nie zwrócił uwagi na jej reakcję. Kiedy skończył, dziewczyna bez słowa wybiegła z komnaty. W czasie rozmowy myślami krążyła wokół swej wielkiej tajemnicy, o której ojciec nic nie wiedział. Przed oczyma miała twarz młodzieńca, któremu oddała swe niewinne serce. Był nim towarzysz jej dziecinnych zabaw, syn leśniczego. Podobnie jak ona kochał las i zamieszkujące w nim zwierzęta, często towarzysząc Ani w jej wędrówkach. Po latach wyrósł na młodzieńca słusznego wzrostu, o łagodnym spojrzeniu i dobrym sercu. Zakochał się w pannie z wzajemnością i oboje - świadomi różnic, jakie ich dzieliły - utrzymywali swe uczucia w głębokiej tajemnicy.

Wieczorem, po rozmowie z ojcem, Anna postanowiła powiedzieć ukochanemu o tym, co usłyszała. Gdy wymykała się po zmroku z dworu, dostrzegła to jedna ze służących i, wiedzioną niezdrową ciekawością, podążyła za swą panią. W ten sposób poznała jej sekret. Zazdrosna o miłość młodego leśniczego, który był przedmiotem westchnień wielu służek z dworu, następnego dnia zdradziła tajemnicę Ani swojemu panu. Okrutny był gniew ojca. Natychmiast nakazał zamknąć córkę w jednej z narożnych komnat i tylko raz dziennie zanosić jej pożywienie.

Pływały dni. Anna odmawiała jedzenia, była coraz smutniejsza, bledsza, jakby bardziej nieobecna. Tymczasem na polanie w lesie, która była miejscem ich pierwszych pocałunków, każdej nocy czekał młodzieniec, wyglądając swojej lubej. Wiedział o jej więzieniu, ale ciągle miał nadzieję, że uda jej się wyrwać z niewoli i na swym białym koniu przyjechać na spotkanie z nim.

Panna domyślała się, że chłopiec na nią czeka, stęskniona zaplanowała ucieczkę. Zgromadziwszy tobolek jedzenia, podarła pościel i zrobiła z niej sznur, po którym spuściła się przez okno w dół. Zakradła się do stajni, wsiadła na swego ukochanego konia i ruszyła galopem w las. Noc była księżycowa. Jasnowłosa panna więc bez kłopotu znalazła dróżkę, prowadzącą na polanę, gdzie - jak słusznie podejrzewała - czekał na nią jej ukochany. Spieszyła się tak bardzo, a serce jej biło tak radośnie, że nie zauważyła ukrytej wśród traw pułapki, przygotowanej przez kłusownika. Był to głęboki dół, wypełniony postawionymi na sztorc, zaostrzonymi palami, a tak przemyślnie zamaskowany, że

niebezpieczeństwa nie dostrzegła także jej wierna klacz. Nagle ziemia usunęła się spod końskich kopyt i obie - klacz i Anna - wpadły do dołu. Zginęły na miejscu.

Rano zauważono ucieczkę dziewczyny oraz brak jej konia w stajni. Długo szukano Ani po całej okolicy, a dziedzic wysłał nawet posłańców do pobliskich dworów z pytaniem, czy nie widziano gdzieś blond dziewczyny na białym koniu. Dopiero po kilku dniach odkryto pułapkę kłusownika, a w niej ciało dziewczyny i zwłoki konia. Wielka była rozpacz ojca po stracie jedyne dziecko. Poniewczasie zrozumiał, że źle postąpił. Zniszczono pułapkę kłusownika, którego imienia nikt nigdy nie poznał. Na miejscu tragedii ustawiono figurę Matki Boskiej, której twarz przypominała oblicze córki dziedzica.

Po tym wydarzeniu, według legendy, w księżycową noc zaczęła pojawiać się dama o blond włosach, cała w bieli, galopująca po w jabłonowskich lasach na białym koniu. Widmo prześladowało zwłaszcza kłusowników, których przepędzało z lasu, niszcząc ich wnyki i pułapki.

Może to dzięki opiece białej damy do dzisiaj okolice Jabłonowa pokrywają lasy, w których ciągle nie brakuje zwierzyny.

Spis treści

Od autora	5
Zaklęta w kamień	7
Śluby kawalerskie	11
Złote kręgle kruszewskiego pana	15
Opowieść o Sławianie	19
Legenda o powstaniu Piły	22
Sen malarza góreckiej Madonny	26
Jak kuźnia pojednała Niemców i Polaków	30
Jak pan bogaty dziadem proszalnym został	33
O Maćku, który morę przechytrzył	37
Jak kwestarz Gaudenty swego brata ze skąpstwa wyleczył	40
Sekret drogi z Chlebna do Luchowa	44
Bluźnierca z Ratajów	48
Przygoda Mośka z chimkiem	51
O wojewodzinie, co Najświętszej Paniencie skąpiła	55
Opowieść o cudownej piecie ze Skrzatusza	60
O zatopionym zamczysku nad Notecią	64
Baśń o duchach pokutujących w młynie	67
Czarcie ślady nad Notecią	70
Zatopione dzwony z Rudnej	74
Tajemnice góreckiego objawienia	78
Śmiertelna pułapka	82
Spryciarz z Zelgniewa	85
Dziwna masonów z Grabionnej przemiana	88
Wieloryb w stawie	91
Śmierć Danabora	94
Farmazyn z Trzebonia	98
Podanie o źródłach Łobzonki	102
Przeklęta karczma w Szczerbinie	105
Jak chłopci Szwedów na „Śmiertelnej Górze” pokonali	109
Biała dama z Jabłonowa	113

Ciesz się
najlepszymi projektami...
*kombinacją Twoich potrzeb
z naszym profesjonalizmem*



LOGO

ULOTKI

PLAKATY

BANERY

GADŻETY

GAZETY

FOLDERY

KSIAŻKI

STRONY WWW

IDENTYFIKACJA MARKI

TABLICE REKLAMOWE

REKLAMA PRASOWA

KAMPANIE WYBORCZE





Zbigniew Noska, od pokoleń Wielkopolanin, dzieciństwo i młodość spędził w Wągrowcu. Był absolwentem tamtejszego Liceum Ogólnokształcącego im. Powstańców Wielkopolskich.

Ukończył polonistykę na UAM oraz organizację i zarządzanie na Uniwersytecie Warszawskim.

Pracował jako nauczyciel języka polskiego w LO w Wągrowcu, potem był wizytatorem metodykiem w tamtejszym inspektoracie oświaty. W 1975 roku w związku z powstaniem województwa przeniósł się do Piły, by najpierw pełnić funkcję rzecznika prasowego KW PZPR, a potem redaktora naczelnego "Tygodnika Pilskiego". Po 1989 roku krótko był dyrektorem biura senatora Henryka Stokłosa, następnie redaktorem naczelnym "Tygodnika Nowego" oraz przez kilka lat "Radia 100", a także prezesem spółki wydającej te media. Specjalizował się w publicystyce politycznej, jako autor ukazującego się od 1991 roku do dziś cyklu felietonów pt. "Obserwatorium" oraz serii wywiadów pt. "W cztery oczy". Od zawsze jego pasją była historia i regionalistyka. Opublikował cykl artykułów na temat dziejów pilskich parafii pt. "Państwo Boga", a także kultury ludowej Nadnotecia pt. "Legends Krajny" i "Przy kominku" oraz "Opowieści z przeszłości" - zbeletryzowane epizody z historii Piły i okolic. Obecnie jest na emeryturze, ale nadal ściśle współpracuje z redakcją "Tygodnika Nowego".



powiat pilski

Sfinansowano ze środków Powiatu Pilskiego

ISBN 978-83-945773-8-4



9 788394 577384